Nr. 33 (1129). Warszawa, dnia 3 (16) Sierpnia 1902 r. Rok XXII.

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

***Adres: Sadowa Nr. 14.***

**Redaktor** przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

**Administracya otwarta codziennie**, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



## POLITYKA.

### MACEDONIA.

Właściwie jest to już dziś w potocznej dziennikarskiej praktyce, cała Turcya europejska z wyjątkiem przytykającego do Konstantynopola mutessaryfliku Czataldża. Stojąc na gruncie historycznym, niepodobna jest wyłączać Adryanopola tureckiego Edirne, wraz z odpowiadającym mu wilajetem; ale też i nie wolno włączać wilajetów zachodnich: Janińskiego, Kosowskiego, Skodrzańskiego, te bowiem znajdują się po za obszarem antycznej Macedonii. Z punktu widzenia etnograficznego, który zarazem jest i politycznym, bo etniczne właśnie całostki uwzględnia jako narodowości sięgające po prawa, wszystko to, co jeszcze na półwyspie Bałkańskim należy bezpośrednio do Turcyi, podpada pod nazwę Macedonii; wyjątkiem jest jedynie wilajet Adryanopolski, w którym przeważają Turcy, i to w takiem natężeniu, iż całostki etniczne obce nie mają w nim doniosłego znaczenia, a ruchy polityczne, tak umysłowe jak czynne, uzewnętrzniające się materyalnie, są tylko porywami ambicyi już państwowej odpowiednich narodowości. Bez Adryanopola i Czataldży Turcya europejska, czyli Macedonia w dzisiejszem pojęciu, obowiązującem polityków, przedstawia obszar 2,250 m. kw., zaludniony przez jakie pięć milionów jednostek statystycznych. Dla Turcyi statystyka jest zbytkiem; można mieć w niej tylko liczby przybliżone.

Roi się cały ten obszar od przeróżnych ludów i ludków, na zachodo-północy Hercegowińcy, odmiana Bośniaków, którzy znowu są odmianą Serbów. Serbowie rdzenni w Starej Serbii, Rascyi; Albańczycy, z dawnych Epirotów, Ilirów i Słowian, sturczeni jeszcze na początku XVI wieku; dalej ku Grecyi, trochę Greków i wreszcie wsypanych pomiędzy ludność południowo-zachodnią trochę Rumunów, zwanych Kuco-Wołochami. Środek w Bitolii (Monastyr) zajmują Serbowie i Bulgarzy, wschód w wilajecie Tessaloniki (Saloniki) Grecy z Bulgarami skłóceni, a pomiędzy te dwie etniczne całostki wciska się jeszcze Pomak, zabytek historyczny, płód islamu wiejącego na chrześcian i aryów, przechodzący do właściwie już tureckiego wilajetu Edirne. Całe to rojowisko usiewają Turcy, zrzadka w środku, w większem natężeniu około jeziora Skodrzańskiego i wśród Albańczyków, w wilajecie Tessalonickim trzymający się przeważnie morza Egejskiego we współzawodnictwie z Grekami. Można sobie wystawić, co dziać się musi na półwyspie przy nizkim stopniu kultury tureckiej, a niższym jeszcze—państwowości własnej, przy różnicach religijnych, etnologicznych, społeczno-towarzyskich, przy całem nurtowaniu z zewnątrz od strony państw jednorodnych mową, wiarą i przeszłością niewoli tureckiej z narodowościami jeszcze z pęt niewydobytemi. Jest to kocieł, w którym ciągle gotuje się miłość wolności z nienawiścią tak ku Turcyi, jak i wzajem ku sobie — spór o kopce graniczne, które jedni drugim ciągle rozrzucają.

Utrzymanie spokojności w tej wielojęzycznej Macedonii najeżone byłoby przeciwnościami nawet dla państwa z pnia aryjsko-europejskiego, z wyćwiczoną biurokracyą i wymustrowanem a licznem wojskiem; dla Turcyi jest to ustawiczna kwadratura koła; podejmuje ją więc tylko w ostateczności. Chcąc wytworzyć jakieś lepsze warunki prawno-publiczne, w których się wyraża stosunek władzy do społeczeństwa, musiałaby przetworzyć samą siebie, a to jak dla jednostki tak i zbiorowości stanowi zbyt często syzyfową pracę. Reformy Midhata baszy, gdyby się były utrzymały w całem państwie, przyniosłyby już dotychczas nie jeden dobry i zgodę między ludyszczami Bałkanii i zadanie samej Turcyi ułatwiający porządek; ale dzisiejszy sułtanat o reformach nie pomyśli nigdy, w trafnem może poczuciu, że w stanie tego obskoczenia, które co do znacznych już bardzo obszarów stało się wywłaszczeniem, najlepiej będzie nie tykać starej rudery. Niech się tak wszystko jeszcze jak jest trzyma siłą jakiegoś ciążenia w dół, jakąś bezwładnością, równolegle idącą z obezwładnieniem energii politycznej zewnętrznej, uznanem przez dyplomacyę za jakąś konieczność i prawo, rządzić mające stosunkami. Stoją przecież nietknięte zobowiązania traktatu berlińskiego, nakazujące Turcyi zaprowadzenie reform; ale Europa nie nalega na wykonanie, a sułtanat rządzi się owym dogmatem nietykania licha, które śpi; gorsze zawsze licho, co nie śpi.

Chociaż jest pewna z obu stron słuszność w takiem trzymaniu Turcyi pod chloroformem, bez właściwej operacyi, którąby się już na nic nie zdała, wprowadzenie jednak reform, darzących ludność pewną autonomią, już po za gminę sięgającą tkwi zarówno w interesie Europy jak i samych ludyszcz bałkańskich. Proces o prawa wzajemne jest funkcyą ich jakby naturalną: nie powstrzyma jej nic. Musi się ona odbyć i dokonać, a wolność, najlepszy dla wszystkiego warunek i najlepsze na wszystko lekarstwo, pozwoliłaby mu dokonać się rdzennie, istotnie, w sposób odpowiadający samymistotom zbiorowym, praw

swych się dobijającym. Łatwiej i lepiej ukształtowałaby się potem przyszłość tego roju, gdyby wyszła ze swobody ruchów, ze starć i zwycięztw, odnoszonych z jej pomocą. Takie wszakże genetyczne stanowisko nie odpowiada ani widokom dyplomacyi ani lękliwości samej Turcyi. Na porządku dziennym wprawdzie znajdują się „reformy w Macedonii“, ale niewiele po nich spodziewać się można. Komitet macedoński w Sofii, stawiając tamy Grekom i Serbom, wystosował do Europy memoryał o zorganizowanie trzech wilajetów: Skoplje, Bitolia, Saloniki w prowincyę autonomiczną na wzór dawnej Rumelii Wschod.; ale z tego memoryału więcej korzystają redakcye dzienników, niż gabinety ministrów. Nie struga się drewna, które ma być wrzuconem w piec, a w tem położeniu znajduje się władza sułtańska nad Macedonią. Nie zaważą też w ostatecznych układach owe jakby fizyologiczne procesy między pojedyńczemi narodowościami. Zamiast pytania: co ma każda z nich dostać dla siebie?— wystąpi inne: co dać każdemu z państewek, już istniejących na Półwyspie—z tego, co się nie dostanie wielkim mocarstwom?

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Król angielski, nadspodziewanie podleczony, według zapowiedzi ukoronował się d. 9 b. m. w Westminsterze. Izby odroczyły się do 16 października.

Cesarz niemiecki według zapowiedzi stanął d. 6 b. m. w Rewlu i zabawił do 9-go. Dzienniki niemieckie i austryackie warzą wodę, powtarzając oklepane ogólniki o Niemcach, o trójprzymierzu, o pokojowem znaczeniu odwiedzin i wiele innych bezmyślności. Jedynie poważnem jest określenie nowej podróży *Norddeutsche Allg. Ztng* jako wywzajemnienia się za odwiedziny w Gdańsku.

Cesarz Wilhelm za dziesięć dni (27 b. m.) będzie miał u siebie gościa, Wiktora Emanuela III. Ominie on i teraz cesarza Franciszka; przemknie się tylko przez Tyrol.

Zmarł w Springe Bennigsen, współtwórca „national“-liberałów.

*Fremdenblatt* z pod odwiedzin króla Rumunii w Ischl zbija pogłoski o konwencyi wojskowej między obu państwami. Konwencya jest prawdopodobną.

Były niepokoje w Szampanii, w Lotaryngii, w Sabaudyi, z powodu zamykania szkół; w Bretanii, gdzie kultura najniższa, a przesądy najsilniejsze, opór też przeciw wykonawcom prawa z lipca 1901 r. jest najzaciętszy. Można go już nazwać rzeczywistym oporem czynnym. Ludność kierowana przez margrabiów, margrabiny i „znakomitsze damy,“ tem więcej czuje w sobie zapału, im silniej w szczerość tej arystokratycznej imprezy wierzy, nie dostrzegając po za nią roboty politycznej: kilkudziesięciu improwizowanych naprędce fortów Chabrol. W wielu miejscach trzeba istotnie wdzierać się do wnętrza. Przeważnie dotknięte zakazem szkoły utrzymywane są przez kobiety. To jeszcze wzmacnia wrażenie i napręża nerwy. Rzeczpospolita da sobie z tem wszystkiem radę, bez obudzania nowej Wandei i nowych Szuanów. Teraz już i uczeni i literaci z akademii zaczynają wpływać do sprawy: wzywają do użycia wszelkich środków legalnych dla zapobieżenia monopolowi szkolnemu. Wezwanie bardzo rozumne, ale trzeba zacząć żyć po amerykańsku, wzmocnić oświatę, obudzić samodzielność chłopa, zerwać związek kościoła z państwem, znieść wyłączność państwową, wyzwolić zupełnie społeczeństwo z pod państwa, po za obrębem podatków i wojska, jak w Ameryce — i dopiero potem głosić myśli rozumne. Poeci nie ustają w politykowaniu. Poczciwy, słodki, potulny Coppee staje się lwem. Cały idealizm staje na straży ideałów, którym żaden materyalizm nie grozi.

Na zapamiętanie zasługuje fakt, że dwóch pułkowników odmówiło wykonania rozkazów przeciw zakładom klasztornym.

Na początku miesiąca objeżdżał Irlandyę arcybiskup kardynał Morgan z Australii. W Kilkenny powiedział: Lud australski broni się przeciw imperyalizmowi wielkobrytańskiemu. Gdyby Australia zależała od ministrów angielskich. tak jak Irlandya, nie pozostałaby ani 24 godzin w związku z Anglią.“ Oczywiście miał chętnych słuchaczy. Agitacya na wyspie rośnie. Liga irlandzka Clan-na Gael z kulturalnej staje się coraz bardziej polityczną.

Kruger leczy się w Scheveningen. W Hadze wyprawiono mu przyjęcie gorące. Zganił on mocno Łukasza Meyera, który wszedł był w zażyłość z lordem Kitchenerem i spożywał u niego smaczne obiady. Sędziwy patryota i niemal patryarcha, bo z nim Transwal jako państwo się począł i z nim się kończy — boleć musi nad tym zanikiem godności. Meyer zmarł nagle d. 8 b. m., jak donosi telegram z Brukseli. Na Ceylonie podobno 4,000 jeńców odmówiło przysięgi, nawet krew przytem jakoby popłynęła — wiadomość niepewna.

Izba reprezentantów w Waszyngtonie jednomyślnie postanowiła wznieść w tej stolicy związku pomnik Kazimierzowi Pułaskiemu, poległemu pod Savannah d. 9 paźdz. 1779 roku. Żądanie wniósł Abraham Lincoln Brick.

Powstańcy wenezuelscy podstąpili już pod Caracas.

Powstańcy kolumbijscy pod Herrerą zaciekle walczą z wojskiem rządowem.

Na Haiti pretendent Firmin wytworzył rząd rewolucyjny — przynajmniej sobie, jeśli nie wyspie.

Na wyspach Filipińskich nowe drgnienia zbrojne Negritów i Tagalów.

*Matin* zapowiada wojnę Francyi z Siamem — wilk i owca.

Macedończycy na początku tego miesiąca złożyli kongres — i za najodpowiedniejszą siedzibę dla niego obrali Sofię. Turcya protestuje, zamiast myśleć o reformach, choćby się przytem rządzić miała zasadą *divide et impera*, tak skuteczną wobec wszelkich narodowości, walczących z sobą o prawa do kraju, potrzebującego reform.

Albańczycy ucierają się wciąż z wojskiem tureckiem. Sułtan wysyła na wygnanie oficerów, upominających się o żołd, ale innym znowu rozdarowuje pałace.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Listy z Francyi.

Paryż, 7 sierpnia.

W żadnym chyba kraju tak późno nie kończy się rok szkolny, jak we Francyi. W średnich zakładach naukowych 31-go lipca, a w początkowych szkołach dopiero w tych dniach rozdawano nagrody, jak zwykle, z wielką uroczysto-

3)

Edwin Arnold.

## Światło Azyi.

POEMAT.

### Księga trzecia.

(Dokończenie).

Dnia następnego, o samem południu, książę wraz z Czanną, przez furty bronzowe wolną przeszedł nogą, przez furty, które na królewski rozkaz się otwarły; lecz ci, co olbrzymie bramy otwierali, nie wiedzieli zgoła, że się syn króla w kupca odział suknie, w strój pomocnika książęcy woźnica. Szli obaj piechotą po zwyczajnych drogach, ze Sakyów całem łącząc się pospólstwem, wesołe i smutne widząc miasta sprawy; ulice, dziennym ożywione gwarem, wonnych korzeni i zboża przekupniów, co z nogami na krzyż w pośrodku swoich zasiadają kramów, kupujących z pieniędzmi w chustkach niesionemi, słów utarczkę, by trochę z tej lub owej utargować ceny, krzyki „precz z drogi!“ olbrzymie kamienne koliska, silne a powolne woły z jarzmem, gniotącem ich potężne karki, palankinów, tragarzy zawodzących pieśni, barczystych hamalów, co w słońcu zlewają się potem, gospodynie, wodę ze studni niosące w naramiennych dzbanach i w poprzek bioder dźwigające czarnookie dzieci; muchami pokryte z bakalią stragany, tkaczów przy krosnach, młyńskie kamienie, mielące mąkę, psy szukające odpadków ulicznych, zręcznych zbrojowników, co szczypcami i młotem pancerne koszulki spajają i kują; kowali z oskardem i stalową włócznią, co razem w jednej czerwienieją kuźni; szkoły, w których, poważnem półkolem otaczając Guru, dzieci Sakyów śpiewały hymny i zaklęcia, o mniejszych się i o większych dowiadując bogach; farbiarzy, mokre na słońcu suszących tkaniny różowe, zielone i pomarańczowe; żołnierzy, szczękających mieczami i tarczami, poganiaczy wielbłądów, kołyszących się na ich garbach, dumnych Brahmanów, wojowniczych Kszatrjów, skromnie pracujących Sudrów. Tu widzieli tłum ludu, otaczający zaklinacza wężów, co na ramiona z okularnika wkładał bransolety, lub monotonnym instrumentu dźwiękiem zwierzę w gniewliwy zaczarowywał taniec; owdzie wpadał im w oczy bardzo długi szereg bębnów i piszczałek, co szedł z rumakami, odzianymi strojnie i z jedwabnymi baldachimami, by młodą małżonkę do dom przyprowadzić; tam znowu żonę, spieszącą do boga, by z girland i ciasta miłą mu ofiarą bezpieczny powrót dla męża uprosić lub sobie syna zjednać narodziny; wreszcie widzieli stragany, na których mocno hałaśliwi garncarze lampy i loty wykuwali pięknie, wreszcie pod murem i bramami wspaniałej świątyni, ku rzece i mostowi, pod miejskie blizko tuż podeszli wały.

Ledwie je minęli, gdy z brzegu drogi głos żałosny doszedł: „Pomocy, panowie! na nogi mnie postawcie; oh, pomocy! lub umrę wprzód, nim jeszcze do swego dostanę się domu!“ Straszny to był nędzarz, którego śmiertelna powłoka, przez jakąś zabójczą schwytana zarazę, wijąc się, w pyle leżała przydrożnym, purpurowemi okryta plamami; na czole pot zimny wystąpił kroplami, ból straszny twarz jego wykrzywił kurczowo, a wzrok dziki wewnętrzne wyrażał cierpienie. Dysząc, ruchem kurczowym za trawę się chwytał, by powstać, i już nawet podniósł się na poły, by znowu opaść, na całem drżąc ciele i krzycząc z przestrachu: „Ah! co za ból! Dobrzy ludzie, udzielcie pomocy!“ Słysząc to Siddartha natychmiast pobieżał i cierpiącego w swoje ujął dłonie, głowę chorego na swem wsparł kolanie, a gdy biedaka jako mógł pocieszał słodyczy pełnem i miłem spojrzeniem, jako też dłoni swej miękkiem dotknięciem, pytał: „Bracie, jakiż to i gdzie ból tobie dolega? Jakaż to krzywda ciężka cię spotkała? czemu na swoich nie

ścią, przy dźwiękach muzyki. W tym roku z niecierpliwością przez dziatwę i młodzież oczekiwane „distributions de prix“ (rozdanie nagród) więcej niż zwykle zaciekawiało i niepokoiło także starszych ze względu na protesty klerykałów przeciw zamknięciu szkół nieupoważnionych.

W mowach popisowych profesorów i przewodniczących nie brakowało jątrzących zwrotów co do ostatnich wypadków, przez które usiłowano podniecić zebraną publiczność do zaburzeń ulicznych. Zapowiedziano nawet wielką manifestacyę klerykalną w Sorbonie przy rozdawaniu nagród laureatom konkursu między wszystkiemi kolegiami i liceami w Paryżu. Do tego konkursu corocznie staje około 5,000 kandydatów, najlepszych uczniów klas wyższych średnich, państwowych zakładów naukowych.

Dotychczas dopuszczano doń i słynne, od wieków już istniejące, przez księży prowadzone kolegium „Stanislas,“ które do lat ostatnich cieszyło się szczególnymi przywilejami i dokładało wszystkich starań, byleby jego uczniowie otrzymywali jak najwięcej nagród i odznaczeń. Dopiero przed kilku miesiącami spostrzeżono, jakoby po raz pierwszy, że niesłusznie dopuszcza się do ogólnego konkursu państwowego prywatne księżowskie kolegium, choćby najwięksi arystokraci i dygnitarze posyłali tam swe dzieci, a dla upozorowania wykładali świeccy profesorowie.

W tym roku więc po raz pierwszy, ku oburzeniu klerykałów kolegium Stanisława wyłączone zostało z „concours général.“ Można się było zatem spodziewać, że na uroczystym obchodzie rozdawania nagród przez samego ministra w wielkiej sali Sorbony jaki zwolennik księżowskiego wychowania, dawny uczeń kolegium Stanisława, podniesie głośny protest, zakłóci spokój, lub jeden z uczniów nacyonalistów zdobędzie się na piękny, jak mówią Francuzi, giest i na podobieństwo Godeffroy Cavaignac'a odrzuci nagrodę. Tymczasem pomimo pogróżek i zapowiedzi nie znalazł się taki śmiałek, tylko po kątach mruczano po cichu, kiedy prof. Nollet mówił o wychowaniu demokratycznem.

Już to trzeba przyznać, że obrońcy klerykalizmu głównie na swych zebraniach, niby publicznych a w rzeczywistości ściśle zamkniętych, rzucają pioruny, a do czynnego oporu nawołują w manifestach, otwartych listach i licznych swych dziennikach, jak *Le Peuple français*, *La voix nationale*, *La Délivrance*, *La Croix*, *Le franc parleur chrétien* itd. Skoro jednak przychodzi wystąpić czynnie w Paryżu czy to w dzielnicy łacińskiej, czy na placu Zgody, czy z powodu wielkiej manifestacyi przed pomnikiem Etienne Dolet, nacyonaliści, a pod tą nazwą dziś należy rozumieć wszelkiego rodzaju obrońców klerykalizmu, nie umieją wyjść w zwartym szeregu, z otwartą przyłbicą.

Damy arystokratyczne, jak baronowa Reille, De Mun, Piou, Lebaudy, żony znanych wyzyskiwaczy robotników i robotnic francuskich, chciały odegrać w Paryżu rolę opiekunek i przewodniczek matek, stroskanych. Zdobyły się jednak zaledwie na stawienie się przed odźwiernym prezydenta z żądaniem audyencyi u pani Loubet i zadowoliły wygadaniem najpierw przed jednym z generałów, a później przed reporterami, grożąc, że krew lać się będzie na ulicach. W słynną niedzielę, po tysiącznych, nadaremnych odezwach, wzywających kobiety do stawienia się na placu Zgody, same w karetach udały się do ministra, a nieprzyjęte, raczyły zejść na kilka chwil zaledwie na pola Elizejskie, by przed pierwszą gromadką manifestantów umknąć do swych wspaniałych pojazdów. Znudzone, ze swymi adonisami, w których serca już dawno wystygły, w ostatnich wypadkach szukały tylko nowego wrażenia, nowej podniety dla swych znieczulonych nerwów.

Dziś, tak w Paryżu, jak i w więcej oświeconych miejscowościach Francyi, zwolennicy klerykalizmu, przekonawszy się, że lud i ulica nigdy już do nich należeć nie może, nie myślą o czynnym oporze i manifestacyach. Zbierają oni tylko podpisy do swych protestów; a skoro jaki zdziecinniały starzec z Akademii przyśle im słowa uznania, na wszystkie strony o tem rozgłaszają. Obecnie zakładają nowy związek „Ligue de l'enseignement libre,“ jak gdyby wolność nauki zasadzała się na zabijaniu wszelkiej myśli wolnej i tamowaniu rozwoju umysłowego przez dogmatyczną naukę religii; rozmyślają też, czy nie należałoby lidze do zmniejszenia podatków, na czele której stoi renegat radykałów, Jules Roche, iść za przykładem jednego z arystokratów na prowincyi i zaprzestać płacić podatków aż do zniesienia prawa o kongregacyach.

Paryż, Lugdun, Marsylia, to są środowiska z gruntu już wolnomyślne, które tylko chwilowo mogą się poddać nacyonalistom, przywdziewającym płaszczyk skrajnych kierunków, ale głęboka prowincya, Bretania, Wandea, Sabaudya — to są jeszcze fortece obskurantyzmu, gdzie kler i panowie wszechwładnie często panują, do czego przyczyniają się niemało wspólne syndykaty rolne. Tam mało oświecony, nieuświadomiony lud głęboko i szczerze przywiązany do religii, nie rozumie, że klerykalne wychowanie ma zawsze na celu godzić biedaka z dotychczasową nędzą, łudzić go rajem w przyszłem życiu, zamiast otwierać wrota do szczęścia na tej ziemi. Tam rzeczywiście chwilami odbywały się i odbywają rozrzewniająco smutne sceny: setki mężczyzn i kobiet opuszcza żniwa, by uzbrojeni w narzędzia pracy, bronić zamknięcia szkół kongregacyjnych i usunięcia z nich zakonnic. Należy się spodziewać, że tam przedewszystkiem z pochodnią wiedzy i światła podążą ludzie dobrej woli, pełni zapału; a zanim uparci, nieuświadomieni, lecz szczerze wierzący Bretończycy przejrzą i błąd swój poznają, rząd francuski zostawi ich w spokoju, a zajmie się coprędzej wzniesieniem nowych szkół świeckich na miejscu kongregacyjnych i da im wzorowych wychowawców-nauczycieli, którzy zdobędą wpływ, zaufanie i miłość mieszkańców.

Nie sądźmy jednak, ażeby w wielu miejscowościach broniono szkół kongregacyjnych tak gorąco, z takiem zaparciem się siebie. Z 3,000 nieupoważnionych tylko 324 nie uległo pierwszemu wezwaniu ministra Combes'a, a z tych 87, to jest wszystkie w departamencie Paryża i Lugdunu zamknięto w ciągu 48 godzin bez wielkiego hałasu. Pozostałe zaś na prowincyi 237 od tygodnia prefekci zamykają zwolna, zwykle bez wielkiego oporu tak, że dziś najwyżej kilkadziesiąt jeszcze gmin broni swych szkół zacięcie, co na 36,000 gmin we Francyi przedstawia nader mały procent.

Walka o mniemaną wolność nauki, a właściwie o przywileje kleru i o bezkarność szerzenia trucizny, zaogni się zapewne z rozpoczęciem roku szkolnego. Już dziś nacyonaliści utrzymują z tryumfem; że rząd nie będzie wstanie dać miejsca w swych szkołach dziatwie, która uczęszczała do

---

możesz stać nogach? Czemuż-to, Czanno,“ dyszy on i jęczy? i nieustannie tak żałośnie wzdycha? „Wtedy woźnica te powiedział słowa:“ Wielki książe! człeka tego jakaś przemogła zaraza; wszystko w jego ciele uległo zmieszaniu: krew w jego żyłach, kiedyś całkiem zdrowa, niby ognisty potok huczy: serce, co dobre posiadało tętno, dzisiaj, jak bęben w nieudolnych dłoniach, raz wolno to znów zbyt prędko uderza; ścięgna zwiotczały jak łuku cięciwa zwolniona: z goleni, lędźwi i karku siła gdzieś zwietrzała, cały męzkości wdzięk się gdzieś ulotnił; człowiek to chory w paroksyzmu chwili. Patrz jak się szarpie, by swą boleść zdławić, krwią nabiegłemi przewraca oczyma...... Zgrzyta zębami i powietrze chwyta, jak gdyby dymem oddychał duszącym: umarłby chętnie, lecz nie umrze właśnie, póki zaraza w nim się nie rozwinie, co wprzód zabija nerwy, nim ostatni promyk życia zagaśnie; a gdy już mięśnie popękają z bólu, a kości zdolność do cierpień utracą, mór ustępuje, aby dzieło zniszczenia nanowo w innem rozpoczynać ciele. Ah, panie! tak go trzymać nie jest dobrze! Cios może z niego na ciebie przeskoczyć i ciebie nawet znienacka ugodzić.

A na to książe takie wyrzekł słowa: ciągle chorego pocieszając człeka: „Czyż są i inni tacy, jest ich wielu? Czy mnie to samo przytrafić się może?“ „O wielki panie!— woźnica odrzecze — wszystkich to w różnych dotyka postaciach: troski i rany, choroby, wyrzuty skórne, paraliże, trądy, gorączki, wodna puchlina, wrzody, ropnie, każdego człeka ciało dręczyć zwykły, i zło po sobie pozostawiać skutki.“ „Czyż niepostrzeżenie te zła się ludzkiej imają istoty?“ — zapytał znów książe. Na to odparł Czanna: „Przychodzą, jak wąż chytry, co ukradkiem kąsa, jak pręgowaty, krwi chciwy morderca, co w dżungli za krzakiem Karundy czatuje; lub jako piorun, co z nieba na oślep spadając, jednych razi, a drugich łaskawie oszczędza.“ „Więc wszyscy ludzie w ciągłej żyją trwodze?“ „Tak mości książe!“ „A kresem cierpień, co wtedy przychodzą, gdy zechcą same, czyż zawsze ciało bolami złamane i takiż umysł, jako też wiek stary?“ „Tak właśnie, panie, o ile człowiek długo żyje.“ „Lecz gdy człek swoich cierpień znieść nie może, lub gdy znieść nie chce końca dla swojej poszukując nędzy, lub gdy je zniesie i takim, jak ten się człowiekiem stanie, do życia słabym, a jednak żyjącym, starym i coraz bardziej starzejącym, — jakiż kres jego?

„Umiera mości książe.“

„Umiera?„

„Tak w końcu zawsze śmierć przychodzi, w różny sposób i o różnym czasie. Garstka ludzi starzeje się, wielu cierpi i na różne zapada choroby, lecz wszyscy muszą umrzeć. Patrz, oto właśnie umarły nadchodzi!“

Wtedy Siddartha, oczy swe podniósłszy, gromadkę ujrzał zawodzących ludzi, którzy śpieszyli do rzeki wybrzeża; na czele idący, w glinianem naczyniu płonące, węgle potrząsał przed sobą; za nim szli krewni, krótko ostrzyżeni, żałobnie przybrani, nieopasani i w głos krzyczący: „O Rama, Rama, Zwysłuchaj! Do Ramy, bracia, wołajcie!“ a krewnymi szły mary zrobione z czterech drążków, bambusową przetykanych trzciną—na nich leżał zmarły — skostniały i sztywny, ze stopami wprzód zwróconemi, wychudły, przygnębiony, niewidomy, o bokach zapadłych, wyszczerzając zęby, czerwonym i żółtym posypany proszkiem. Na dróg skrzyżowaniu, głową naprzód go zwróciwszy i „Rama, Rama“ wołając, na brzeg strumienia razem go zanieśli, gdzie stos pogrzebowy wczas już zgotowano; tam go też złożono, gromadząc paliwo. Twardo spi ten, co na takiem raz już spoczął łożu! Nie przebudzi się z zimna, jakkolwiek nagi na wszelkie narażon jest ciągi... Wkrótce na rogach czterech płomień się ukazał, który ślizgał się i pełzał, wnet swoję znajdując ofiarę; tę syczącymi objąwszy języczki wnet pochłaniać począł, aż skóra spieczona zaczęła pękać, a stawy trzaskać pod gorąca wpływem, aż wreszcie dym, tłuszczem przesiąknięty, sczerniał, szkarłatno-szary popiół zawalił się z sykiem,

zamkniętych obecnie zakładów kongregacyjnych, i zawczasu starają się umieścić ją w swych instytucyach upoważnionych. Nie można nawet przypuszczać, aby teraźniejsze energiczne ministeryum zawczasu nie obmyśliło środków ulokowania dziatwy w zakładach świeckich. Setki, jeśli nie tysiące uzdolnionych, dyplomowanych kandydatów na nauczycieli oczekuje miejsc, a pustych mieszkań i gmachów niebrak w Paryżu nietylko na umieszczenie 7000 dzieci wyrzuconych jakoby na bruk, jak głoszą nacyonaliści, ale dla wszystkich wychowańców, sierot i kalek, znajdujących dziś opiekę pod skrzydłami duchowieństwa. Nie może też być trudności z wynalezieniem funduszów; parlament francuski dałby jedno więcej świadectwo swej niekonsekwencyi i jałowości, jeśliby odmówił kredytu choćby i kilkudziesięciu milionowego na rozszerzenie dawnych szkół i założenie nowych.

A zresztą czyż Francya ma wiecznie płacić swym gasicielom światła: kardynałom 60,000 fr. rocznie, biskupom 15,000 fr., proboszczom 3,000 — czyż nigdy nie nadejdzie chwila złożenia na ołtarzu oświaty 50 milionów franków, płaconych corok Rzymowi? Jest jeszcze inny sposób umieszczenia w świeckich zakładach wszystkich dzieci, które pobierały naukę nietylko w zamkniętych dziś kongregacyjnych szkołach, lecz i w upoważnionych; nie trzeba bowiem zapominać, że zamknięto tylko 13%. Niechaj elementarne szkoły francuskie, które są całkiem bezpłatne, będą otwarte tylko dla dziatwy pracującego w pocie czoła ludu, a nie dla tych których rodzice mogą płacić kilkanaście franków miesięcznie w niższych klasach liceów, gdzie nigdy nie brak miejsca!

We Francyi skoro otworzoną zostanie jaka instytucya miejska lub państwowa w celu niesienia bezpłatnej pomocy, ulgi lub oświaty dla niezamożnej ludności, lecz bez wyraźnego zaznaczenia tej wyłączności, możniejsze warstwy natychmiast starają się z niej korzystać z uszczerbkiem naturalnie biedniejszych. Tak się ma rzecz ze szpitalami w Paryżu, tak też z początkowemi i wyższemi szkołami miejskiemi.

Gdyby przynajmniej dzieci bogatego mieszczaństwa i arystokracyi demokratyzowały się w bezpłatnych szkołach, nie wpływały ujemnie na dziatwę proletaryatu!..

Dopóki średnie i wyższe wykształcenie we Francyi będzie przywilejem zamożnych, kosztownem i nieprzystępnem dla klasy pracującej — dopóty szkoły początkowe powinny być wyłącznie jej świątynią.

*Dr. J. Zieliński.*

## SPRAWA MIESZKANIOWA.

### III.

Stanęliśmy przed dziwnem zjawiskiem: miasta, rozpierane przez rozwój przemysłu nowoczesnego oraz napływającą ze wsi ludność, żadną miarą nie chciały przekroczyć pierwotnego swego kordonu. Rosły w górę, zaludniały się gęściej, ale za mury ich ważyli się wydostać tylko bogatsi mieszkańcy, aby zażywać słodkiej bezczynności na łonie podmiejskiej przyrody.

Zjawisko powyższe. które powtarza się typowo w każdem wielkiem mieście, tłomaczy się bardzo prosto. Nie każdy może przesiedlać się tam, gdzie mu się podoba, lecz przeciwnie większość jest przykuta na mocy swego trybu życia do pewnego określonego punktu. Właściciel sklepu lub zakładu rzemieślniczego nie może przenosić swego interesu ni stąd ni zowąd do nowej okolicy; lecz musi pozostać tam, gdzie jego przedsiebiorstwo zapuściło korzenie, gdzie zyskało sobie klientelę, gdzie jest znane i zrosło się tak z fizyognomią okolicy, że nawet obcy potrafi je odrazu odszukać. Właściciel zakładu takiego woli dokładać co kilka lat do komornego, byle nie być zniewolonym do przeprowadzki. Przeciwnie, w miarę wzrostu miast zakłady nietylko nie opuszczają swej starej siedziby, ale starają się urządzić tu możliwie wygodnie i okazale, gdyż przy gęstszem zaludnieniu miejscowości stopa obrotów każdego zakładu rośnie. Właściciele domów podnoszą wtedy regularnie co kilka lat komorne i z przyjemnością przebudowują mieszkania na sklepy. Właściciele tych ostatnich ponoszą znów cierpliwie wszelkie ofiary i składają żądaną od nich coraz sowitszą daninę. Lokotorom staje się w tych warunkach ciaśniej. Kamienicznicy zaś wyzyskują położenie i podnoszą również komorne od mieszkań. Lokatorom nie pozostałoby nic innego, jak wynieść się na koniec miasta, ale tylko garstka mieszkańców może się chwycić tego środka. Tylko ludzie bogaci i niezależni lub też prowadzący życie bezczynne i rozporządzający swym czasem mogą uciec od gwaru i zgiełku handlowo-przemysłowego. Rentyerzy, bankierzy, wysłużeni, wysocy urzędnicy i inne bogate osobniki, co nie sieją ani orzą, a jednak są syte, mogą mieszkać tam, gdzie im jest dogodnie. Gdy zachodzi potrzeba, jadą do miasta bez zbytniego pośpiechu. Co innego człowiek pochłonięty przez cały dzień pracą. Ten musi mieszkać jak najbliżej zakładu, który prowadzi lub w którym pracuje, gdyż przy najdoskonalszej nawet komunikacyi przejażdżka jest bądź kosztowna, bądź zabiera dużo czasu, którego żaden człowiek pracujący nie ma zbyt wiele w zapasie. W życiu nowoczesnem, gdzie każda czynność odbywa się podług zegara, szkoda każdej minuty, a zbytnie szafowanie czasem kończy się zwykle uszczerbkiem dla odpoczynku lub innych wygód życiowych. Spożycie obiadu u siebie w domu np. jest możliwe tylko tam, gdzie mieszkanie leży w pobliżu zakładu. Dość, że w miarę wzrostu miasta wszelcy możni wygodniccy lub osoby mało związane ze światem pracy i zarobkiem, przesiedlają się do okolic podmiejskich i budują tam sobie urocze wille w stylu Odrodzenia lub rococo, gdy reszta mieszkańców szuka na gwałt schronienia w pewnem określonem miejscu lub w jego pobliżu. Ani kupiec, ani subjekt handlowy, ani robotnik, ani drobny urzędnik, ani lekarz, adwokat lub inżenier nie mogą oddalać się zbytnio od pewnego punktu zarobkowego. Właściciele domów muszą zatem podnosić coraz wyżej swe domy. o ile nie mogą przekroczyć granicy nakreślonej przez przepisy policyi, budują, że się tak wyrażę, więcej w głąb. Rośnie ilość podwórzy i oficyn. Każda piędź ziemi zostaje wyzyskaną. Znikają ogródki i nieplace zabudowane. Wszelkie wygody lokatorów zostają sprowadzone do *minimum*, byle handel mieszkaniami szedł. W ten sposób powstały owe nowoczesne potworne koszary mieszkalne, w których duch i ciało ludzkie są oddane na pastwę zwyrodnienia. Ale w miarę tego, jak owe koszary mieszkaniowe wchodzą w zwyczaj, w miarę jak komorne rośnie, wskutek tego iż ludziom jest ciaśniej, gospodarze domów

---

z kością, gdzieniegdzie bielającą jeszcze — tyle z całego zostało człowiek.

A wtedy znowu odezwał się książe: „Czyż taki koniec czeka wszystkich, co na ziemi żyją?“ „Taki zaiste koniec czeka wszystkich — rzecze na to Czanna — ten, co na stosie spłonął pogrzebowym, choć resztki po nim tak bardzo są marne, że kruki krążą czas jakiś zgłodniałe, a potem chudą opuszczają ucztę, jadł, pił i śmiał się, kochał, żył i życie swoje nadewszystko lubił. Potem, któż to wiedzieć może, podmuch wiatru z dżungli stanął mu na drodze, potknięcie się na ścieżce, zarazek w kąpieli, ukąszenie węża, pół piędzi rozgniewanej stali, febra, ość rybia, lub z dachu spadająca cegła, i już koniec życia, i już człek nie żyje. Taki ni apetytu nie zna, ni bólu, ni rozkoszy: pocałunek na jego ustach jest już zgoła niczem, niczem już ognia piekące płomienie; nie czuje swego ciała, kiedy się przypieka, ni wonnych korzeni, co razem palą się z sandałem: wszak usta wszelki smak już utraciły, uszy słuchu przestały być źródłem, oczy zdolności widzenia pozbyły; ci, których kochał, opuszczeni płaczą, bo nawet ciało, co życia było lampą, w niwecz iść musi, inaczej bowiem ucztę z niego miałyby robaki. Oto każdego życia przeznaczenie. Wysoko czy nizko urodzony, zły czy dobry, niestety, mrzeć musi, a potem, jak nas uczą, na nowo zaczynać i żyć gdzieś i jakoś — któż to może wiedzieć — i znowu go bóle porodu czekają rozstanie, stos pogrzebowy... Taka ot kolej żywota ludzkiego.“

Wtedy Siddartha swe oczy, boskich łez pełne, ku niebiosom zwrócił, oczy współczuciem dla ziemi błyszczące: z firmamentu wzrok swój na ziemię opuszczał, z ziemi zaś znowu w górę go podnosił, jak gdyby duch jego w samotnej pogoni jakiejś odległej poszukiwał wizyi, łączącej w całość i jedno i drugie, stracone, minione, lecz uchwytne, lecz widziane, znane. Potem, gdy twarz w górę wzniesiona bezmiernej miłości uczuciem płonęła, i ogniem bezgranicznej pałała nadziei, wtedy on wołał: „Oh! cierpiący świecie! Oh! wy znani i nieznani, wspólnego ze mną ciała, we wspólną sieć śmierci i bólu schwytani. jako też w sieć żywota, co śmierć i ciało w jedną łączy całość! Widzę i czuję bezmiar ziemskiego cierpienia, czczość ziemskich rozkoszy, ułudę rzeczy najlepszych, najgorszych torturę. Każda przyjemność cierpieniem się kończy, młodość starością, miłość — miłości przedmiotu utratą, życie kończy się nienawistną śmiercią, śmierć — nowych żywotów nieznaną koleją, co ludzi w jarzmo narodzin wplatają, by znów krąg złudnych przeżyli rozkoszy i cierpień, co prawdy są cierpkim wyrazem. Ja sam się na tę schwytałem przynętę, życie tak miłem być mi się zdawało, jak nigdy nieschnący strumień wiecznego pokoju; kiedy przeciwnie głupie i zawodne fale tak lekko spływają wśród kwiatów trawnika, by jeno tem prędzej swe czyste kryształy do mętnych nurtów morza śmierci przelać. Rozdarta zasłona, co mi wzrok ślepiła! Jam taki sam, jak ci wszyscy ludzie, co nadaremnie wołają do bogów, niewysłuchani i nieuwzględnieni... Lecz na to przecie musimy pomoc znaleźć! Może samym bogom pomoc jest potrzebna, skoro tak są słabi, że gdy smutni płaczą, zbawić ich nie mogą! Ja, mogąc zbawić, nikomu płakać nie dałbym daremnie! Czyż Brahma mógłby ten cały świat stworzyć i w takiej nędzy ród ludzki zostawić... Jeżeli wszechpotężny, nie jest chyba dobry; jeżeli nie wszechmocny, to gdzież jego boskość?... Czanna! do domu zawracaj! Dość tego! Me oczy dosyć na dzisiaj widziały!“

Gdy król o wszystkiem opowieść usłyszał, u bram potrójną straż ustawić kazał: zabronił wszystkim wchodzić lub wychodzić, za dnia czy w nocy, póki snu proroczego siedem dni nie minie.

Przełożył *Wojciech Szukiewicz.*

hardzieją. Taka wieża Babel, rojąca się od setek ludzi, sprawia im zbyt wielkie kłopoty. Ciągle ma się ambarasy to z tym, to z tamtym biedakiem, a tymczasem nasz kamienicznik, jakkolwiek z przyjemnością co kilka lat podnosi komorne, nie chciałby mieć zbytniej fatygi i woli prowadzić życie możliwie spokojne. Z tej racyi kamienicznicy, budując domy (lub przebudowując je), urządzają mieszkania możliwie obszerne, do których sprowadzają się ludzie zamożniejsi. Gdy niema rady, gdy brak mieszkań, najmują je biedacy, ale wtedy dają przytułek sublokatorom, szambrgarnistom i noclężnikom. Gospodarz domu lub rządca ma tylko do czynienia z głównym lokatorem, a już rzeczą tego ostatniego jest wyciskać komorne ze swych lenników. Tem tłomaczy się stwierdzony w licznych miastach europejskich fakt, że kiedy szereg większych mieszkań nie znajduje lokatorów, daje się uczuć brak mniejszych. W razie jednak, gdy dom z góry zostanie zbudowany tak, aby dać schronienie drobiazgowi, wtedy lokatorowie muszą wspaniałomyślność i grzeczność gospodarza opłacać z lichwą. W ten właśnie sposób rozrastały się wielkie ogniska współżycia ludzkiego. Na jednym końcu nowe miasto z pałacami i willami, na drugim stare z niebotycznymi domami, wypchanymi po brzegi ludnością. Ale i ten stan rzeczy nie trwa długo. Do dzielnicy bogatej nadciągają ludzie, szukający tu klienteli. Osiadają rzemieślnicy, lekarze, adwokaci i fryzyerzy, powstają kawiarnie i eleganckie sklepy wszelkiego rodzaju. Gwar rośnie, a w miarę tego, jak bogactwo, zapładniane przez cudzą pracę i wyzysk, rozmnaża się, brak coraz więcej mieszkań dla bogaczy. Dzielnica możnych odsuwa się wtedy jeszcze dalej od starego centrum, ale i stare miasto musi cofnąć się o kilka kroków w tył. Tu dopiero następuje żniwo dla spekulujących placami. Ludzie ci bowiem, pomimo że nie studyowali ekonomii politycznej i nigdy nie słyszeli o żelaznych prawach renty gruntowej, przewidywali jednak, iż wcześniej czy później miasto będzie zmuszone na obu końcach wystąpić ze starych swych ram, a w oczekiwaniu tego przyszłego faktu zakupywali grunty zamiejskie. Gdy widzieli, jak w środku miasta domy rosną w górę, serca ich rosły również z radości. Gdy współobywatele biadali na drożyznę mieszkań, razem z nimi przelewali łzy nad niezaradnością miasta, ale tem gorliwiej zakupywali place i czekali, aż oto po latach kilkunastu zapukają do ich drzwi i zaproponują sprzedaż tego lub innego placyku. Łatwo się domyślić, iż spekulanci zażądają teraz bajecznych sum za swe place, kupione w swoim czasie po cenach nizkich, gdy komorne było niższe, a domy dawały mniejszy dochód. Teraz czasy się zmieniły. Lokator składa na ołtarzu renty gruntowej większy ułamek swych dochodów, niż dawniej, wskutek tego i dom podmiejski daje obecnie znacznie więcej, niż przed laty dziesięciu. Właściciel placu, oburzony tym wyzyskiem, żąda słusznie, aby gospodarz budowanego domu podzielił się z nim przyszłym zyskiem dodatkowym. Gospodarz gotów zarzucić spekulantowi, iż zarobek na placu jest niezasłużony, ponieważ właściciel jego przez lat kilkanaście nic nie robił, wyczekiwał tylko. Gdy miliony ludzi muszą ciężko pracować na chleb, spekulant skupywał tylko place, obserwował wysokość domów i przepełnienie mieszkań, aby oszacować stosownie do niego przyszłą wartość swych placów. Ale na to nasz spekulant może odpłacić swemu moralnemu pogromcy pięknem za nadobne: cóż bowiem będzie on robił w roli gospodarza budowanego domu. Wszystkie czynności zwali na rządcę, który będzie ściągał niemiłosiernie komorne, procesował się, przysyłał komornika i kłócił się o każdą reparacyę, zapewniając, iż ściany są świeżutkie, podłoga znakomita, a kuchnia wcale niezła. Koniec tej moralnej dyskusyi będzie ten, iż właściciel budowanego domu zapłaci za plac odpowiednio do przewidywanych zeń dochodów, które znów są w prostym stosunku do komornego, opłacanego przez lokatorów. Dość, że, jak widzieliśmy, wskutek przeludnienia komorne rośnie, a zysk ten spływa do kieszeni kamienicznika. O ile zaś on chce zbudować dom nowy, aby wyzyskać położenie, musi z góry, chcąc nie chcąc, podzielić się swem „unearned increment,“ swym niezasłużonym przyrostem z właścicielem zakupywanego placu. Albowiem ten ostatni może, w ostatecznym razie, sam zabudować swój plac i zagarnąć niepodzielnie cały dochód.

Pomiędzy temi dwiema hyenami wyzysku zachodzi jednak pewna różnica. W jaki sposób wzbogaca się spekulant placu, jest rzeczą jasną jak na dłoni. Zakupuje on przedmiot charakteru monopolowego (grunt) i w miarę tego jak gruntu jest coraz mnie w stosunku do napływających do miasta lub rozmnażających się w nim ludzi, rośnie komorne, a co za tem idzie, dochody i wartość domów, na mocy tego zaś i cena placów. Nasz właściciel placu mógłby na kilka lat dać się zagrzebać do ziemi, jak fakir indyjski, a po przebudzeniu przekonałby się, iż wartość jego placu podczas snu tego wzrosła znacznie. Zmarły w przeszłym roku pruski minister handlu, Miquel, wyraził myśl tę dość obrazowo we frankfurckiej radzie miejskiej za swego burmistrzostwa. „Napiszcie panowie — zwrócił się do radców miejskich — cenę swych gruntów na drzwiach, połóżcie się spać; gdy obudzicie się za lat trzydzieści, przekonacie się, iż wartość waszych gruntów podwoiła się. Czyście wiele pracowali na to? Nic!“

Inaczej ma się rzecz niekiedy z gospodarzem domu. Gdy mianowicie nabywa kamienicę, to płaci za nią odpowiednio do dochodów. Dom daje rocznie tyle a tyle, i nabywca płaci zań sumę, która dawałaby rocznie ten sam zysk w innej lokacie, czyli lokuje w domu pewną kwotę pieniężną. Kapitał „pracuje“ tu w ten sposób, jak w innem przedsiebiorstwie. Że dom daje tak wielkie dochody, nie jest to wszak winą nowego jego gospodarza i żadną miarą nie możemy go za to zrobić odpowiedzialnym. Nie można mu zarzucić szczególnego jakiegoś dodatkowego wyzysku lub „niezasłużonego przyrostu.“ Fakt więc, iż nabywcy domów opłacają skapitalizowaną rentę, skapitalizowaną możność wyzysku, zaciera rzeczywiście istotę rzeczy. Ale stosuje się to tylko do momentu kupna domu, gdyż już za lat kilka stan rzeczy się zmienia, a nowy gospodarz zacznie śrubować do góry komorne w ten sposób, jak to czynił jego poprzednik. Przypuśćmy, że okolicę będzie odtąd przecinała nowa linia tramwajowa, że w sąsiedztwie powstaną nowe instytucye, które skierują w daną stronę nową falę lokatorów, że zjawią się udogodnienia w rodzaju parku, a gospodarze domów wnet pospieszą podnieść komorne. Zresztą to samo dzieje się, jakkolwiek w dłuższych nieco odstępach czasu i w formie mniej natrętnej, nawet bez wszelkich powodów. Niektórzy np. podnoszą komorne tylko nowoprzybywającym lokatorom, co szczególnie łatwo da się uskutecznić w dużych domach o małych mieszkaniach. Dość często zwyżki te uderzają swą bezczelnością. Stwierdzono np., że zwiększenie zarobku lub pensyi zachęca gospodarzy do zwyżki. Wiedząc, iż teraz właśnie lokator może wytrzymać nowy upust krwi, uważają, iż gospodarz powinien wziąć udział w każdym zysku lokatora. Widzimy zatem, że do całej klasy właścicieli gruntów niezabudowanych lub zabudowanych dadzą się zastosować znane słowa Johna Stuarta Milla: „Właściciele gruntów podczas snu wzbogacają się bez pracy, ryzyka i oszczędzania.“ Komplikuje się rzecz nieco wskutek tego, iż każdy dom jest obciążony długami i że bardzo rzadko buduje się dziś bez pomocy kredytu hipotecznego. Ale przez to nie zmienia się zgoła istota rzeczy, gdyż lokatorowi ostatecznie wszystko jedno, czy komorne zagarnia niepodzielnie gospodarz domu, czy też pewna jego część spływa do kieszeni stojących za jego plecami pasorzytniczych lichwiarzy, zorganizowanych w banki i stowarzyszenia lub operujących na własną rękę.

Wywody nasze dadzą się streścić w ten sposób. Rozwój handlu i przemysłu wywołał wzrost ludności miejskiej, a ponieważ terytoryum mieszkalne jest ograniczone, komorne musiało podskoczyć do góry. Nieustannie rosnąca renta dzieli się pomiędzy gospodarzy domów, handlarzów placów i wierzycieli hipotecznych. Miliony ludzi muszą pracować w pocie czoła, odmawiać sobie najniezbędniejszych potrzeb, uszczuplać swe mieszkanie, dzielić je z innymi, wydawać siebie i dzieci na pastwę fizycznego i moralnego zwyrodnienia, aby żywić i utrzymywać wspomnianą trójcę wyzyskiwaczy i pasorzytów.

Czyż jednak państwo i społeczeństwo nie mogą jakimikolwiek środkami przeciwdziałać temu? O tem pomówimy następnym razem.

*H. Forszteter.*

# WRÓG LUDU.

Rozgrywa się obecnie w cichej dolinie tatrzańskiej kopia Ibsenowskiego dramatu. „Wrogiem ludu“ ma być lekarz stacyi klimatycznej, dr. Janiszewski. Kilkanaście dni temu właśnie Komisya klimatyczna, t. j. sześciu ludzi, zależnych od wójta, uchwaliło usunąć d-ra Janiszewskiego z posady lekarza klimatycznego za działalność jego, wrzekomo nacechowaną niechęcią do ludności miejscowej.

Oskarżenie zarzuca mu cały szereg przewinień, lecz śledztwo przeprowadzone przez władze rządowe na skutek denuncyacyi, wykazało fałszywość oskarżeń i uwolniło d-ra Janiszewskiego od wszelkiego zarzutu. Pozostały jedynie winy ukryte, istotne powody niechęci „ojców narodu.“ Wiadomo mianowicie, że dr. Janiszewski pierwszy wprowadził w Zakopanem i należycie zorganizował dezinfekcyę; że wywalczył i zbudował szpital, a prowadząc go z poświęceniem i bezinteresownie, uczynił zeń wielkie dobrodziejstwo dla biednych; że dzięki jego staraniom Zakopane posiadło pracownię chemiczno-bakteryologiczną, niezbędną w miejscu kuracyjnem; że z jego inicyatywy powstało pismo miejscowe, wychodzące już czwarty rok i nie pozostające bez wpływu na rozwój Zakopanego; że on zawiązał stowarzyszenie lekarzy miejscowych i przez nie, a głównie osobistym wpływem, podniósł ogromnie zdrowotny stan niehygienicznych przedtem mieszkań zakopiańskich; że on rozpoczął i prowadzi zadrzewianie ulic; że wykołatał i zrzeczeniem się 300 koron płacy pomógł gminie do utworzenia stałej posady weterynarza miejskiego, że jest przewodniczącym komitetu budowy pomnika dla Chałubińskiego; że własnym kosztem sprawił i ofiarował gminie plany wodociągów i kanalizacyi, i że tylko dzięki jego energii ważne te sprawy posuwają się naprzód; że on wreszcie w ostatnich dniach wprowadził na porządek dzienny doniosłą a mało popularną sprawę wydania właściwej dla Zakopanego ustawy budowlanej.

Wszak tyle zbrodni usprawiedliwia zupełnie tytuł „wroga ludu“, usprawiedliwia tem bardziej, że popełnione one zostały wbrew woli i interesom „obrońców i ojców ludu“, zawsze tych samych: dr. Chramca, obranego niedawno na wójta większością *jednego* głosu, oraz

możnego sąsiada, właściciela Kuźnic, hr. Władysława Zamoyskiego.

Co zmusza pierwszego zwalczać stale wszelkie zmiany, dążące do podniesienia poziomu jego rodzinnego gniazda, sądzić trudno, gdyż dowody, przytaczane przez d-ra Chramca przedstawiają odmęt, pełen sprzeczności i ułudy. Domyślać się tylko można, iż powoduje nim przedewszystkiem strach, że jego zakład, wyglądający umiarkowanie przyzwoicie na tle brudów, śmieci, błota i ciemności, w razie zaprowadzenia w Zakopanem urządzeń europejskich spadnie do rozmiarów brzydkiej oborowatej szopy, czem jest w rzeczywistości. A dr. Chramiec widocznie nie chce albo nie może w swym zakładzie już nic poprawić, ani odmienić. Zresztą w sprawach większej wagi niewiele on by mógł, jeszcze mniej by śmiał, gdyby nie miał obok siebie wzoru i oparcia w hr. W. Zamoyskim.

O tym dziedzicu świetnego imienia i wielkiej fortuny trąbią głośno *Kuryerki* i szepczą po cichu „legendy“ rozmaici „urodzeni lokaje“ oraz wprowadzeni przez nich w błąd „ludzie dobrej woli.“ Dzięki nim powstał mit o „dziwnym hrabi.“ „Dziwny hrabia“ jeździ trzecią klasą, zbiera stare żelastwo na śmietnikach własnych i cudzych, wojuje z żydami, broniąc ludność od ich wyzysku, i ofiaruje... wciąż ofiaruje znaczne sumy i nieskończoną ilość budulcu na rozmaite zakopiańskie potrzeby. Słowem, stara się wszelkimi sposobami wzniecić w zbutwiałem społeczeństwie galicyjskiem zamiłowanie do pracy, oszczędności i ofiarności...

Ale zróbmy na chwilę daszek nad oczami, chroniąc wzrok przed blaskiem mitry hrabiowskie, i przyjrzyjmy się spokojnie głośnym i cichym czynom pana hrabiego.

Przed laty kilkunastu umówił się z gminą zakopiańską o wspólną dzierżawę propinacyi, potem jednak, korzystając ze swoich stosunków we Lwowie, złożył sam jeden ofertę wyższą od wspólnej i został dzierżawcą. Niezbyt... hrabiowski ten postępek usprawiedliwia się obecnie tem, że gmina do swej części chciała dopuścić... żyda. Wprawdzie wystarczyłoby lada skinienie hrabiego, a gmina wolałaby się pozbyć niechrzczonego wspólnika, niż stracić kilkanaście tysięcy guldenów rocznego dochodu z propinacyi, lecz hrabia-obywatel wolał nie skinąć.

Ten *żyd* to ogromnie dogodna dla hrabiego Z. figura. Zawsze go odnajduje, gdzie należy, i korzysta zeń umiejętnie. Niedawno, gdy z przeprowadzeniem kolei, spadły myta na drogach, wydzierżawił szlabany *żydom*, choć przedtem, gdy się dobrze opłacały, utrzymywał je sam i ciągnął z przejezdnych, ile się dało, pod zacnem hasłem antysemityzmu... To samo zdarzyło się z szynkami. Aby „wyzwolić“ ludność miejscową z pod wyzysku karczmarzy, odebrał *trzy* szynki żydom, a natomiast założył dziewięć *własnych* karczem. W rezultacie ludność obecnie spija się bardziej, niż przy żydach.

Na budowę kolei do Zakopanego, po pokryciu głównych kosztów przez kraj i rząd, pozostała jeszcze do wypłacenia suma 400,000 kor. Za wpływem hr. Zamoyskiego i dzięki usłużności rządzącego w Zakopanem dr. Chramca, suma ta pokrytą została w następujący sposób: 150,000 kor. przyjęła na siebie Komisya klimatyczna, 120,000 gmina zakopiańska, 100,000 powiat nowotarski, dalej 20,000 p. Uznański, właściciel Poronina, i wreszcie 10,000 hrabia Zamoyski. To jednak nie przeszkodziło hrabiemu-obywatelowi żądać od Wydziału krajowego zwrotu 14,000 koron kosztów, wrzekomo poniesionych na starania o kolej, a więc na podróże do Lwowa, Wiednia i t. p.

Była wielka radość w swoim czasie, że „dziwny hrabia“ ofiarował budulec na Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem; kiedy jednak zarząd Muzeum, widocznie znając hrabiego, postanowił za ofiarę tę zapłacić, hrabia zapłatę przyjął. A Towarzystwo Tatrzańskie za drzewo, ofiarowane również na budowę szkoły rzeźbiarskiej, zapłaciło całą należność z dodaniem około 70% za zwłokę. Ofiarowywał również hrabia-obywatel drzewo na szpital w Zakopanem, z warunkiem jednak, że szpital po wieczne czasy przyjmować będzie chorych robotników i oficyalistów hrabiego, za zwrotem tylko istotnych kosztów żywienia. Lekarz stacyi, dr. Janiszewski, nie przyjął naturalnie takiej ofiary, zmieniającej szpital klimatyczny na dworski, i drzewo kupił za pieniądze ze składek publicznych. Za kamienie, które do budowy wielkiego sanatoryum dr. Dłuskiego chciano zbierać z przeciwległych pól hrabiego, zażądał on takiej zapłaty, że korzystniejszem okazało się sprowadzanie ich z odległości 20-tu kilometrów i od zwykłych śmiertelników, nie hrabiów. Zresztą główna krzywda, jaką ten „dziwny hrabia“ wyrządza Zakopanemu, a pośrednio całemu naszemu społeczeństwu, polega nie na ekonomicznym wyzysku, nie na materyalnym uszczerbku — lud polski niejednego pasorzyta żywi, a jednak żyje i rozwija się — nie, główna krzywda, jaką hr. Zamoyski wyrządza otoczeniu, polega na truciźnie moralnej, którą jego przykład szerzy. Ciemny lub przyciśnięty niedostatkiem góral bohaterem jest zaiste jeżeli, patrząc na takie wzory, zachowuje mimo to instykty społeczne. Choćby hr. Zamoyski z czasem ofiarował góry złota swemu społeczeństwu, już mu nigdy nie wynagrodzi strat, jakie im wyrządził przez zatrucie moralne. Święte rzeczy należy robić czystemi rękami.

*Z. Z.*

FEJLETON.

# Etyka Fabulickiego.

Pewnego dnia myszka mała spostrzegła na ziemi ziarenko zboża, więc rzekła do swej znikomej duszy:

— Dobrze będzie, jeżeli zjem to ziarenko, źle natomiast będzie, jeżeli tego ziarenka nie zjem.

Niebawem ziarenko załkało płaczem śmierci w zębach maluchnego gryzonia.

Aliści myszkę ujrzał kot cichostęp i natychmiast rzekł do swej łapczywej duszy:

— Dobrze będzie, jeżeli tego gryzonia ulowię; źle natomiast będzie, jeżeli mi on umknie.

Nastąpił skok straszny, i myszka pisnęła po raz ostatni w życiu.

Wtedy pies, który leniwie wylegiwał się na słońcu, dojrzał nienawistnego kota i natychmiast mruknął do swej duszy ponurej:

— Dobrze będzie, jeżeli rozedrę to przewrotne zwierzę i zjem; źle natomiast będzie, jeżeli ono ucieknie mi na drzewo.

I pochwycił w zęby kota, który parsknął panicznie po raz ostatni i niebawem został doszczętnie pożarty.

Aliści psa ujrzał ryś i w lot pomyślał:

— Dobrze będzie, jeżeli uda mi się go pochwycić i zjeść; źle natomiast będzie, jeżeli on nie da się pokonać, umknie lub mnie pogryzie.

Ale niebaczny pies dał się nikczemnie podejść; ryś skoczył mu na kark, rozdarł go i zjadł.

Wszelako nie zauważył, że w pobliżu stoi wilk, który też natychmiast powiedział sobie:

— Dobrze będzie, jeżeli ja tego hultaja pożrę; źle natomiast będzie, jeżeli mi on ucieknie.

Ale nieszczęsny ryś nie uciekł, i wilk się nim posycił.

Wtedy wilka ujrzał lampart, uznał za stosowne i etyczne zjeść go. I zjadł go. Wreszcie lamparta ujrzał Anglik, uznał za stosowne i etyczne zabić go. I zabił go, albowiem futro lamparcie było bardzo poszukiwane, płacono za nie doskonale, ów zaś Anglik potrzebował pieniędzy.

Aż onego człowieka angielskiego spotkał Pi-Pi, ludożerca, więc rzekł do swej głodnej ludzkiego mięsa duszy:

— Dobrze będzie, jeżeli ja tego białolicego zabiję i zjem; źle natomiast będzie, jeżeli mi on wpakuje ręczny swój piorun do łba.

Świsnęła strzała, Anglik padł trupem, Pi-Pi, ludożerca, upiekł go i zjadł.

Na nieszczęście w zaroślach zakradło się dwóch karabinierów. Ci pojmali Pi-Pi, ludożercę, i odstawili go do więzienia.

Nastąpił sąd. Gdy Pi-Pi, ludożerca, przed nim stanął, pomyślał prokurator:

— Dobrze będzie, jeżeli Pi-Pi zostanie zasądzony albowiem czekam odznaczenia; źle natomiast będzie, jeżeli sędziowie go uwolnią, gdyż owo odznaczenie mnie minie.

Adwokat natomiast rzekł do swej ukształconej duszy:

— Dobrze będzie, jeżeli uda mi się oswobodzić tego żarłoka ludzi, gdyż poprawi się moja opinia adwokacka; źle jednak będzie, jeżeli go nie obronię, bo wtedy klientela moja poszuka sobie innego adwokata.

Kiedy wszelako sędzia rzekł do Pi-Pi, ludożercy:

— Popełniłeś zły postępek. Co masz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie?

Pi-pi, ludożerca, odparł:

— Czy pan sędzia nie mógłby mi powiedzieć, co to jest postępek dobry, a co to jest postępek zły?

Wtedy sędzia uniósł kodeks do góry i rzekł:

— Zły postępek jest taki, który został zanotowany w tej księdze; a dobry postępek to taki, który nie został zanotowany w tej księdze.

Pi-Pi, ludożerca, bardzo się zadziwił, gdyż nie wiedział o istnieniu onej księgi; ale sędzia objaśnił go, że ta niewiadomość bynajmniej Pi-Pi, ludożercę, nie usprawiedliwia.

Skazano go na śmierć. Zginął bez śladu skruchy, a lekarz więzienny, który znał osobiście Lombrosa, zadecydował, że był to typ zwyrodniały etycznie.

Adwokat utracił klientelę i przeniósł się do miasta, aby się utrzymywać z korepetycyj.

Wtedy poznał się z nim filozof warszawski i uczynił mu następującą propozycyę:

— Panie mecenasie, wydajemy podręczniki. Ponieważ korepetycye nie pożywią cię, przeto opracuj nam etykę.

Adwokat propozycyę przyjął i natychmiast wziął się do roboty.

Po kilku miesiącach odniósł rękopis filozofowi. Ten przejrzał go, zmarszczył się i rzekł:

— Panie mecenasie, co to jest Dobro?

Adwokat wydeklamował:

— Dobro jest to pojęcie oderwane, obejmujące wszystko, co może stanowić moralny i materyalny pożytek człowieka.

Wtedy nawet warszawski filozof mu odparł:

— Ależ, panie! Dobro musi być czemś innem, inaczej bowiem nie utraciłbyś klienteli, gdy równocześnie prokurator otrzymał odznaczenie!

Adwokat uśmiechnął się:

— Widzi pan, co to jest Dobro, to ja nie wiem, ale wie wasz Fabulicki, który jest pod tym względem u was powagą. Określenie powyższe wypisałem dosłownie z jego książki, więc się pan z nim spieraj, a mnie daj spokój!

Filozof zamilkł. Adwokat tym Fabulickim zamknął mu usta. Definicya Fabulickiego zwyciężyła.

*Andrzej Niemojewski.*

# PAMIĘTNIK.

—

### Smutna sława.

P. Bruni, opisując (we *Frankf. Zeitung*) towarzystwo belgijskich domów gry, powiada, że składa się ono z trzech żywiołów: graczów nałogowych, zawodowych i fantastów. „Jest to uderzającem— dodaje autor — jak wielu Polaków należy do tych ostatnich kategoryj. Cała kolonia polska usadowiła się przy zielonych stołach Belgii, a te kasyna są dla niej rodzajem ojczyzny. Moja rodaczka zrobiła złośliwą uwagę: „Polacy może jeszcze nie zginęli, ale wszystko stracili."

W Monaco na czele graczów my, w klubach wiedeńskich — my, w kasynach belgijskich — my! Straszna sława! Prawda, że na nią pracują głównie ci, którymi naród pogardził, ale ich tytuł narodowy, którego nie chcą się wyrzec, rozszerza ich sromotę na całe społeczeństwo. Protestujmyż przynajmniej głośno i objaśniajmy, że szulerką nie zajmujemy się my, ubodzy, skromni i pracujący Polacy.

### Podwójni buchalterowie.

Gdy ogłoszono hasło walki z niemieckim soliterem, który rozwinął się potężnie w naszym organizmie ekonomicznym, przepowiadaliśmy, że okaże się wielu patryotów, którzy go będą tajemnie karmili. I rzeczywiście wydobyto ich na wierzch porządną gromadę. Ten ratuje swoje stosunki handlowe z Niemcami zapomocą dawnych zapasów," tamten po cichu używa w korespondencyi języka „rycerzy malborskich," inny trzyma u siebie „kulturträgera" itp., a wszyscy krzyczą: precz z germanizmem! Z dwojga złego wolimy już owego solitera, niż tę nikczemną dwulicowość, która nietylko wprowadza do społeczeństwa obcy pierwiastek narodowy, ale nadto szczepi w nim zarazę obłudy — tej obłudy, która tak zmieszała się z naszą krwią, tak wplotła się w nasze stosunki, tak przyrosła maską do naszej twarzy. Naszem zdaniem, siłę głównego ataku należy zwrócić nietylko przeciwko szczerym i otwartym Niemcom lub orędownikom niemczyzny u nas w kraju, ile przeciw podwójnym buchalterom, zapisującym w jednej rubryce szumne słowa obywatelstwa polskiego, a w drugiej — korzyści geszeftu z Niemcami.

### Misyonarz w Warszawie.

Jedno z naszych pism codziennych, które od pewnego czasu usiłuje starannie nadać sobie cechy prawowierności, z dziecinną radością obwieściło światu, że redakcyę jego nawiedził Polak - misyonarz, członek misyi francuskiej w Afryce. Redakcya owego pisma bawi się tą wiadomością, jak dziecię zatrutą strzałą, nie domyślając się lub udając, że się nie domyśla ukrytego jadu. Zgromadzenie, do którego należy misyonarz—pisze ów organ— szerząc wiarę, niesie „kulturę chrześcijańską" i „wpływ polityczny francuski" w głębie pustyń i puszcz afrykańskich. Ależ nie! Należało zacząć od „wpływu politycznego", a może i na nim zakończyć. Wszak wiemy, w jakie urągowisko nauce Chrystusa zmieniły się obecnie misye, które nie są niczem więcej, jak tylko faktoryami rządów państw Europy. Nic więc dziwnego, że ojcowie, narażeni na różne niebezpieczeństwa, noszą ciągle broń przy sobie, a uczą się nią władać już —w seminaryum! Chrystyanizm, rozszerzany orężem, nie ciekawa to kartka z dziejów cywilizacyi XX w. Wynurzenia misyonarza dają materyał do poważnych rozmyślań, ale bogobojny *Kuryerek* od tej strony medalu odwraca dyskretnie oczy. *g.*

### Próżności nad próżnościami.

Że w okresie „ogórków", kiedy i w Warszawie nudno, i na „letniskach" się ziewa, ludzie chcą się rozerwać i zabawić, nic nad to zrozumialszego; że na te rozrywki wydaje się czasem dużo pieniędzy, zaoszczędzonych kosztem ciężkich ofiar z potrzeb codziennych, na to także nic nie można powiedzieć: ostatecznie, co komu do tego, jak i na co kto wydaje własne pieniądze. Gorsze jest to, że owe zabawy, *corsa* kwiatowe, *batailles des fleurs, confetti* i t. d., są tak rozpaczliwie banalne, lub też służą za furtkę, przez którą wdziera się bezczelnie najpospolitsza rozpusta.

Wylano już morze atramentu i farby drukarskiej w tę otchłań żującą... daremnie. Na upór pań organizatorek i panów organizatorów niema lekarstwa. Ale zapędzając do nory namiętnymi okrzykami bestyę nieczystości, pozwolono jednocześnie wyjść na światło dzienne innemu potworowi—pysze. Odbyło się, dajmy na to, *corso* gdzieś pod Warszawą, w jednem z „letnich salonów," ze współdziałem „doborowego" towarzystwa. Kwiaty sprowadzono z Warszawy, bo na miejscu ich nie było. Ale mniejsza o to. To tylko jest złe, że u nas z takiej rzeczy robi się sprawę publiczną: usłużny reporter ogłasza z imienia i nazwiska wszystkie panie i wszystkich panów, biorących udział w zabawie. Ba! nawet małe dzieciaki, które, niewiadomo po co, znalazły się w pochodzie, mogą odczytać (jeżeli czytać umieją) imiona swoje w tym pełnym zachwytu dytyrambie na cześć pychy. Co z takich dzieci kiedyś wyrośnie?

Tak! ale „stać" w *Kuryerze* to mile łechce próżność ludzką; a „sylfowie" są tak uprzejmi. *h.*

---

## LITERATURA I SZTUKA.

# POCHODZENIE RYTMU.

Stanisław Mleczko: *Serce a heksametr*, czyli geneza metryki poetyckiej. Warszawa 1901.

(Dokończenie).

Czy hypoteza krótkiej mory istotnie rozwiązuje wszelkie trudności? Dopóki (jak w jambie i trocheju) pojęcia „mory" i „chwili" są równowartościowe, jesteśmy w porządku; w stopach jednak cztero-morowych (daktyl, anapest, amfibroch), w których stosunek mory do chwili jest 4:9, wikłają się one w węzeł, który rozplątać niełatwo. Mora daktyla ma być $^1/_4$ okresu sercowego, a zatem z dwu krótkich zgłosek daktyla przypadnie na każdą po $1^1/_2$ „chwili." Schemat powie nam przecież co innego $S_1S_2S_3+P_4+S_5S_6$ ⏑ ⏑. Dwie zgłoski krótkie, jednochwilowa i dwuchwilowa, różnią się swą wartością. Czemuż tedy wierzyć mamy? System chwili, jak widzimy, prowadzi do powiększenia różniczek iloczasowych, oprócz tej jednej, znanej starożytności, między zgłoską długą a krótką. Że praktyka nie miała nic wspólnego z temi subtelnościami, niech przekona ten oto przykład. Ze wstępu Iliady biorę wiersze *Oio nouśi te pasi... Atrei des te a nax androv.* Czyżby zgłoska *te*, przechodząc w stopie z miejsca trzeciego na drugie, zmieniała swą wartość iloczasową? Porównajmy teraz stopy czteromorowe z pięciomorowemi (bacchius ⏑ — —, antybacchius — — ⏑, kretyk — ⏑ —). Według chwil zarówno skład daktyla, jak i stopy kretyckiej, będzie 3+1+2. Ten sam kretyk może przybrać skład 2+1+3, i wówczas, nie uwzględniwszy arsy, niepodobna go odróżnić od anapestu (⏑ ⏑ —). Podobnie się dzieje z innemi wymienionemi tu stopami. Zgłoska dwuchwilowa jest uważana albo za długą, albo za krótką (obok trzychwilowej), więc i pojęcie iloczasu całkiem traci swą określoność.

Nie skończyły się jeszcze kłopoty z iloczasem, dostrzegamy bowiem, że w dyjambie (to samo w dytrocheju) jedna ze zgłosek, chociaż *jednochwilowa*, może być długą. ⏑ — ⏑ — $S_1+S_2S_3+P_4+S_5S_6$. Autor nam tłomaczy, że fizyologicznie jest to chwila $S_1$, tj. początek skurczu komór, „głoska więc od tej chwili zależna może znieść o wiele większe obciążenie fonetyczne." Przecież nie chodzi tu o wysiłek, o energię tchu, lecz wprost o *trwanie* dźwięku. Co do obarczenia fonetycznego wyjmuje z Sofoklesa („Edyp król") taki trymetr: *O ploute, kai tyranni kai technē technēs....* Wszak pierwszej zgłoski w żadnym razie nie możemy tu nazwać za fonetycznie obciążoną.

Jakkolwiek z całej tej teoryi „chwil" jest dużo punktów błędnych, chwiejnych i sprzecznych, autor przypuszcza, że ma prawo do takiego wniosku. „Badając więc heksametr homerowy oraz wiersz dyalogowy dramatu greckiego, *wykazaliśmy*, że metryka tych wierszy ma podstawę fizyologiczną, kształcąc się w ścisłej zależności od naszego oddechu, od *tchnień, w których właśnie poznaliśmy pierwowzór stóp rytmicznych.*" Albowiem, skurcze serca, *wypychając* powietrze z płuc, przyśpieszają raz wraz prąd wydechowy, *energię zaś tego przyśpieszenia* zużytkowujemy w ten sposób, że ożywiamy nią wyrazy, lub morfemy wyrazów, które należy nam *mocniej* zaakcentować. My zaś wiemy, że „tchnienie," jako objaw ruchu kardyopneumatycznego, w fazach swych musi być przeciwstawione działalności serca. W chwili najsilniejszego skurczu następuje właśnie najwyraźniejsze *wetchnienie* powietrza. Kto więc korzysta z energii skurczów serca, nie może jednocześnie zużytkować energii tchu. A „tchnienia" właśnie mają być pierwowzorem stóp rytmicznych!

System, którego różne części oglądaliśmy kolejno, zastosowany jest przedewszystkiem do metryki greckiej. Wszelako, ponieważ „bijące serce" jest czynnikiem, kształtującym rytm w jakiejkolwiek jego postaci, z góry możemy być przeświadczeni, że i w mowie wiązanej języków współczesnych (więc i polskiego) autor będzie poszukiwał równoważników, miar greckich lub łacińskich. Tak np. w trzynastozgłoskowcu dopatruje się tetrametru jambicznego o czterech arsach. Zwolnienia dykcyi lub jej przyśpieszenia sprawiają efekt podobny przeplataniu się daktylów i spondejów w heksametrze Homera, ale autor posuwa się dalej i utrzymuje, że znaczenie daktylów, spondejów, trochejów i t. p. jest zupełnie to samo, co w języku greckim, to jest że niektóre zgłoski w wierszu są przedłużone w wymowie, inaczej że w *poezyi* polskiej ukazuje się iloczas, *w języku* nieistniejący.... Prowadzi to przedewszystkiem do sprzeczności wewnętrznych w analizie realnych kształtów poetyckich. Wiersz trzynastozgłoskowy posiada cztery arsy, a niemal równy mu t. zw. heksametr 14—16-o zgłoskowy całych sześć! W wierszach zgłoskowych niektóre przyciski, jako nie arsy, są lekceważone, a ile tu pola do dowolnej interpretacyi, łatwo przewidzieć; ale w wierszu daktylicznym lub innym „metrycznym" wchodzą w rachubę już wszystkie przyciski. Połowa heksametru Mickiewicza („Powieść Wajdeloty") zawiera dwa daktyle (— ⏑ ⏑) i trochej, i jest współrzędna trzem okresom sercowym, lecz podobny ośmiozgłoskowy wiersz, jako całostka niezależna, składa się z dwu trybrachów (⏑ ⏑ ⏑) i trocheja, i ma być

wygłoszony w obrębie dwu tylko okresów! stąd chyba wypływa wniosek, że gdyby dwójkę takich wierszy uznać za jeden heksametr, natychmiast zmieniłby się sposób ich wygłoszenia... Ażeby osiągnąć takie wątpliwej wartości zyski, autor popełnić musiał cały szereg herezyj naukowych, sprzecznych z teoryą i z oczywistymi faktami. Zaszła tu dziwna metempsychoza. Dusza języka polskiego weszła w ciało mowy Hellenów i odwrotnie. Przycisk np. u nas jest to coś tak nikłego i niewyraźnego, „iż czasem nie zdaje się sprawiać żadnego wrażenia akustycznego.“ Mimo to i w analizie swej, i we własnym przekładzie „Iliady“ autor uwzględnia prawie wyłącznie przycisk. Natomiast językowi greckiemu, zamiast właściwego mu akcentu chromatycznego (zmiana *tonu*), przypisuje nasz przycisk wydechowy (wzmocnienie głosu) — tak przynajmniej dorozumiewać się każe z całego toku wykładu. Co do iloczasu — to nie jest ustalony w potocznej mowie naszej, ale „stosować by się to mogło do *każdej innej* mowy potocznej,“ więc i do greckiej. Wogóle „naiwnością jest przypuszczać, że zwykły, codzienny język Hellenów podobny był do języka Homera albo Sofoklesa.“ Mógł był nawet zajść taki wypadek, że „jacyś niewcześni rytmologowie języka greckiego zaczeliby wywodzić, że rytm istotny polega tylko na akcencie (jakim? chromatycznym czy wydechowym?), że nie można go oddać na łaskę i niełaskę aojdom, iż to jest gminne barbarzyństwo jakieś przeciąganie zgłosek, *których nie przeciąga nikt w mowie potocznej*.“ Jedyne ustępstwo czyni autor, uznając istnienie długich i krótkich z natury samogłosek u Greków, a ich nieobecność u nas. Ale to według niego nie stanowi poważnej trudności, gdyż i u Rzymian podobne istniały stosunki, w języku zaś polskim utajone są „zarody“ lub „szczątki“ zjawisk prozodyjnych odmiennej od przycisku natury, które w ręku poety mogą się stać „potężnym materyałem.“ I w jakim celu? Co do łaciny, przypomina się nam tu świadectwo Cycerona, (Pam. Akad. Um. VI. 117) przez M. Kawczyńskiego powtórzone według którego każdy błąd iloczasowy spotykał się z natychmiastowym protestem słuchaczów. Ale już w IV w. zasada metryczna chwiać się poczyna. Że w deklamacyi i u nas nie wszystkie zgłoski są jednowartościowe, toć prawda oczywista, ale czy istnieje prawo tego zwalniania i przyśpieszania dykcyi, zależne nie od przyczyn psychicznych, lecz od natury lub pozycyi zgłoski? Autor tego prawa nie ujawnił. A jego teorya „pozycyi“ (przedłużenie samogłoski, jako skutek zbiegu dźwięków spółgłoskowych) jest tak dowolna, a w dowolności swej nieokreślona, że sam jej nawet nie umiał wyzyskać i zastosować.

Dużo jest w teoryi p. Mleczki punktów chwiejnych i uogólnień pośpiesznych. Komu jednak zagadnienia, związane z kształtem narzędzia poetyckiego, obce nie są, znajdzie w książce autora sporo spostrzeżeń oryginalnych i uwag, które warto mieć w pamięci. Niemożemy się tu nad niemi zastanawiać, gdyż to są szczegóły podrzędniejszego w systemie znaczenia. Lecz po za tem w pracy pana M. trzeba powitać, i powitać szczerze, próbę przeniesienia zagadnień rytmicznych na grunt doświadczalny. Stanowczo tylko protestowalibyśmy przeciw metodzie samopostrzeżeń, jako wyłącznej i jedynie pewnej. Ale za punkt wyjścia dla badań obrać należy bezpośredni materyał języka, nie hypoteczne heksametry i trymetry. Wogóle z hypotezą stałego iloczasu rozstać się chyba wypadnie. Przy umiejętnem badaniu i po odrzuceniu takich szczegółów, jak puls „arteryi płucnej,“ nie wątpimy, że dałyby się wykryć rzeczy ciekawe, czy to w zakresie „pozycyi,“ czy w stosunku pulsu do różnego rodzaju zjawisk rytmicznych. Nie wolno, oczywiście, pomijać i czynników psychicznych, i pierwiastku historycznego. Ale w zakresie nawet badań nad warunkami fizyologicznemi, nie należy, według mnie, zasklepiać się w wyłącznej a raz powziętej myśli. Deklamacya np. jest nietylko wydechem, ale i pracą narzędzi mownych. Ta strona przedmiotu nie znalazła jednak u autora uwzględnienia, chyba w luźnie z całością związanym a bardzo słabo opracowanym rozdziale o „pozycyi“, w którym naczelną rolę gra zaniedbany już przez współczesnych badaczów języka miłodźwięk (eufonia). Ogólna zresztą konieczność rytmu, czyli wrotności, w zakresie ruchów człowieka przynajmniej, nieprzeparcie narzuca się uwadze naszej. Odsunąwszy od siebie rękę, musimy ją później cofnąć, otworzywszy usta, musimy je zbliżyć do siebie itd. Praca fizyologiczna— to przecież skurcz i rozkurcz mięśni, co znów jest zależne od okresowego działania pobudzeń nerwowych. Na te ruchy i pobudzenia ustrój nasz zużywa przeciętną ilość energii — oto pierwiastkowa przyczyna rytmu. Dodajmy jeszcze — a jest to wzgląd jeden z najważniejszych— zaoszczędzanie woli, wysiłku psychicznego przy ruchach wrotnych... Poglądów Büchera na wspólną pracę, jako czynnik kształtujący zjawiska rytmiczne, nikt też lekceważyć nie będzie. Czy i o ile to wszystko może znaleść zastosowanie w szczególnie nas obchodzącej dziedzinie, rozstrzygnie chyba przyszłość. Nie system prawd już zdobytych i skończonych, lecz punkt wyjścia dla prac we wskazanym kierunku — oto, co chcielibyśmy widzieć w książce p. Mleczki i w czem chcielibyśmy upatrywać jej znaczenie. Przy rozszerzeniu jedynie podstaw badania i ich pogłębieniu, możemy mieć nadzieję osiągnięcia wyników pewniejszych, niż dotychczasowe. I życzylibyśmy gorąco autorowi, by w ten sposób stał się własnym swym krytykiem.

*A. Drogoszewski.*

# Coignard i Bergeret,

czyli

METAMORFOZA SCEPTYKA.

Anatole France pisze „historyę współczesną.“ Subtelny smakosz literacki, który zachwycał się maryonetkami Bouchera, grającemi historyę biblijną Tobiasza i jego niebezpiecznej żony, który z Flammarionem latał na słońc i gwiazd granicy, rozplatając włosy tajemnicom konstelacyj, a z Sârem Péladanem zagłębiał się w piekielne machinacye inkubów i sukkubów, poczuł potrzebę wypowiedzenia swych poglądów na zagadnienia życia społecznego i politycznego. Całkiem wyraźnie zrobił to w seryi czterech powieści — jeśli ta nazwa, w braku innej, może być użyta — wydawanych od r. 1897 do 1901 pod oryginalnymi tytułami: *L'orme du mail*, *Le mannequin l'osier*, *L'anneau d'améthyste* i *Monsieur Bergeret à Paris*. Ale skromny a uczony profesor filologii na uniwersytetach najpierw prowincyonalnych, potem — stołecznym, pan Lucyan Bergeret, nie jest pierwszym wyrazicielem poglądów społecznych i politycznych znakomitego twórcy „Tais.“ Już na kilka lat przedtem, w r. 1893 i 1894, włożył on swe poglądy w usta wielce uczonego, wymownego i pobożnego — trzeba jednak przyznać — urwipołcia, wielebnego księdza doktora Hieronima Coignarda, który, uciekłszy z pokojówką pani starościny z zaszczytnego stanowiska bibliotekarza biskupiego, p. Séez, próbował wszelkich zawodów, miotany przez burzliwe fale żywota, bywał na wozie i pod wozem, aż go zaniosły do spokojnego portu, *Rôtisserie de la Reine Pédauque*, sklepu z pieczonem mięsiwem cechowego majstra Kręcirożna, który nieskąpo dawał mu jeść i pić za udzielanie synowi jego nabytej mądrości teologicznej, filologicznej, a przedewszystkiem — życiowej. Działo się to wszystko, zapewne, w XVIII w., za sławnych rządów Ludwika Ukochanego, ale nie łudźmy się: bogate doświadczenie życiowe poczciwego księdza-włóczęgi, jakich wówczas tylu było, wyrobiło w nim zmysł proroczego jasnowidzenia, dzięki któremu wygłaszanym przez niego zdaniom mądrości autor przypisał niewątpliwie znaczenie prawd, stosujących się i do „historyi współczesnej,“ do nowożytnego ustroju republikańskiego.

Otóż co nas uderza, co stanowi zjawisko ciekawe, godne podkreślenia i wyjaśnienia, to każda znaczna zmiana w tych poglądach społeczno - politycznych, która zachodzi miedzy Anatolem France'm z niedawnej epoki *abbé* Coignarda, a Anatolem France'm z epoki obecnej — prof. Bergereta.

Dowcipny, wielce oczytany, przenikliwy lumpenproletaryusz, ksiądz bez posady, Coignard żywi gruntowną pogardę dla natury ludzkiej zarówno w sobie samym, jak w innych przedstawicielach rodu ludzkiego. Pokora jego głęboka graniczy bardzo blizko z obojętnością na zło i dobro, jako na rzeczy ludzkie, a więc małej wartości i niesłychanie względne — jak pokora owej stawianej przez niego naprzykład Maryi Egipcyanki, która, wędrując do grobu Chrystusa, gdy przewoźnicy nie chcieli za inną cenę przewieźć jej przez szeroką rzekę, bez wahania pozwoliła im zrobić z sobą, co chcieli, w przekonaniu, że rzecz jest zbyt małowarta, ażeby się o nią targować... Wobec tego, naturalnie wszystkie głośne i dumne zasady społeczne i polityczne wydawały mu się jednakowo wątpliwemi. „Za punkt honoru miał sobie dowieść ludziom, że ich głupia natura nie wymyśliła ani nie zbudowała nic takiego, na co warto by było bardzo napadać albo czego bardzo bronić, i że gdyby znali nietrwałość swych największych a zawsze z gruba ciosanych dzieł, jak prawa i państwa, to biliby się o nie tylko dla zabawy, dla przyjemności, jak dzieci, co wznoszą zamki z piasku na wybrzeżu morskiem.“ Tak pisze Anatole France w przedmowie do *Les Opinions de Monsieur Jerôme Coignard*, która jest już całkiem niewątpliwie apologią poglądów jego przez samego Anatola France'a. A przedewszystkiem ta obojętność względem zasad przejawia się jako obojętność względem form politycznych. Ksiądz-teolog pamięta wprawdzie doskonale, co Samuel z polecenia Jehowy rzekł ludowi izraelskiemu, gdy ten domagał się mianowania króla.

I mówił: Tu będzie prawo króla, który królować ma nad wami. Syny wasze brać będzie, a osadzi nimi wozy swoje, i poczyni je jezdnymi, a będą biegać przed wozem jego.

Poczyni też sobie pułkowniki nad tysiącami i rotmistrze nad pięciądziesiąt; poczyni z nich oracze ról swoich i żeńce żniwa swego, i te, którzyby robili rynsztunki wojenne i potrzeby do wozów jego.

Córki też wasze pobierze, aby gotował rzeczy wonne, i były kucharkami i piekarkami.

Pola też wasze, i winnice wasze, i oliwnice wasze co najlepsze pobierze, a rozda sługom swoim.

Przytem z zasiewków waszych i z winnic waszych będzie brał dziesięciny i rozda je komornikom swoim i sługom swoim.

Także sługi wasze, i dziewki wasze, i młodzieńce wasze co najgrzeczniejsze będzie brał, i osły wasze pobierze i obróci do roboty swojej.

Z bydła waszego dziesięcinę będzie brał, a wy będziecie niewolnikami jego. (I, Samuel, 8).

Lecz z drugiej strony wytrawny znawca wszystkich możliwych autorów klasycznych zna także przypowieść o owej staruszce z Syrakuz, co chodziła codzień do świątyni modlić się za tyrana Dyonizego, a zapytana o przyczynę takiej życzliwości, odpowiedziała, że podczas długiego jej życia zawsze po złym tyranie następował jeszcze gorszy, a więc woli, aby Dyonizy żył jak najdłużej. Myśliciel pełen doświadczenia, nie waha się przyznać, że jest zwolennikiem nadużyć — byle zastarzałych, bo tym od starości stępiło się już ostrze, bo się ludzie zdążyli do nich przyzwyczaić, a lepszego i tak nic nie wymyślą. „Boję się brutalnego ducha nowości w rzeczypospolitej.“ Nawet w zakresie myśli filozoficznej — wszystkie systemy są jednakowo nic niewarte, lecz nowe w dodatku przez sam swój pozór nowości zacieśniają widnokrąg umysłowy swych wyznawców. „Czyż stare błędy nic lepsze od nowych? czyż — skoro już przeznaczeniem naszem jest błądzić — nie lepiej trzymać się tych złudzeń, co się już stępiły?“ — Przewroty polityczne? Żal się Boże! Ksiądz Coignard nie podpisałby ani jednego wiersza deklaracyi praw człowieka, a to z powodu zbyt wielkiego i nieuzasadnionego wywyższenia w niej człowieka nad goryla. Zdaniem jego, jeśli się chce dobrze rządzić ludźmi, to nigdy nie trzeba zapominać, że są to ostatecznie tylko złe małpy; wtedy bowiem posiada się odpowiedni, niewyczerpany zapas pobłażliwości dla wszystkich i przestrzega się błogich zasad łagodności. Najgorsi zaś są ci, co wierzą w jakiś system, mający zbawić ludzkość. „Gdy się chce zrobić wszystkich ludzi dobrymi i rozumnymi, wolnymi, umiarkowanymi, szlachetnymi, to się z konieczności dochodzi do tego, że się chce ich wszystkich wymordować. Robespierre wierzył w cnotę: zaprowadził też terror. Marat wierzył w sprawiedliwość: domagał się ścięcia 200,000 głów.“ To też gdy p. Jan Puhacz, gorący opozycyonista, wykłada księdzu Coignardowi swój system przyszłego ustroju, ułożony podczas siedzenia w Bastylii, mądry kapłan oświadcza mu, że nie ma najmniejszej chęci zamieszkania w jego Utopii, gdyż czuje wstręt do wszelkiego przymusu, a szczególniej nie znosi przymusu do cnoty. Komu innemu nie waha się nawet powiedzieć, że dążenie do zmiany formy rządu jest niegodne rozumnego człowieka, że jest to najbardziej lekkomyślny i jałowy sposób zużytkowania swych zdolności, chyba że — co się w sztuce zdarza! — ktoś w opozycyi widzi sposób zbogacenia się i zrobienia karyery... Bo cóż nowego dają zmiany polityczne? Tyle ich w kraju poczciwego księdza, a przecież po nich — jak przed niemi — ludzie są samolubami, skąpcami, tchórzami i okrutnikami, naprzemiany głupcami i waryatami, a liczba narodzin, małżeństw, mężów rogatych i wisielców pozostaje mniej więcej jednakowa, w czem się wyraża porządek społeczny, którego naruszyć nie można, bo opiera się na nędzy i głupocie ludzkiej, a te są nieśmiertelne. Powiadają, że demokracya jest wyższą formą bytu społecznego, ponieważ ludzie sami sobą rządzą. Lecz to fikcya, nie lepsza od różnych fikcyj dawniejszych. W ustroju demokratycznym każdy ulega woli ogółu, ta jednak jest odmienna od woli każdej jednostki, jest dla niej czemś obcem, zewnętrznem i uciskającem. To też głosowanie powszechne, jako źródło i podstawa zwierzchności, akurat tyleż jest warte, ani mniej, ani więcej, co ów gołąb, niosący w dziobie oleje pomazania. Urząd mianowany z góry, ma przynajmniej tę zaletę, że jest jednakowo obcy wszystkim częściom ludności i jednakowo się im przeciwstawia; gdy tymczasem zarząd wybieralny pozostaje zawsze w zależności od tej lub owej grupy wyborców i wybrany przez rzemieślników cechowych, szykanować będzie przekupniów, wybrany przez przekupniów — da się we znaki cechowym, wybrany przez czeladź—dokuczy majstrom, a zależny od majstrów — dopiecze czeladzi... Swoją drogą, gorszy od innego i tak nie będzie. Pzypomina się tu mimowoli owa stara Kozaczka z „Ogniem i mieczem,“ co, zapytana przez Kozaka o Lachów, odpowiada: „szczob ich łycho,“ a swoją drogą Kozakom życzy: „szczob was bołaczka.“ Wadą jednak rzeczypospolitej ma być jeszcze brak ciągłości w jej rządach. Erudyta ksiądz Coignard cytuje tu ustęp z jakiejś starej tragedyi, w której mowa jest o konsulach z czasów zwyrodnienia rzeczypospolitej rzymskiej: „Ci królikowie, na rok jeden wybierani, widząc, jak krótkotrwała ma być ich władza, nie pozwalają rozwinąć się najpożyteczniejszym przedsiewzięciom z obawy, aby sława z nich nie dostała się następcom. Zarządzając zaś majątkiem publicznym i będąc sami ubogimi, koszą bez ceremonii łany ogółu, pewni, że każdy im to łatwo wybaczy, bo się spodziewa z kolei sam postępować tak samo.“ Sully mógł być wielkim ministrem, bo popierał go monarcha wytrwały i mądry, Henryk IV. Richelieu mógł być wielkim ministrem, bo opanował monarchę gnuśnego i posłusznego, Ludwika XIII. Lecz co mogą zrobić dla kraju ministrowie zależni od kilkuset kapryśnych i egoistycznych deputowanych, którym nie są w stanie dogodzić, którzy sami dobrze nie wiedzą, czego chcą? Będą wciąż pożerani przez tego sfinksa za nierozwiązanie zagadki, której rozwiązania sam Sfinks nie zna... Co zaś wreszcie do t. zw. swobód publicznych, których gwarancyą ma być parlamentaryzm, to są one, według Coignarda, złudzeniem, fikcyą; „prawdziwą wolnością jest tylko wyzwolenie się od marności tego świata.“

Mamy tu więc indyferentyzm polityczny w najskrajniejszej formie, ze wszystkimi jego ponętnymi, błyskotliwymi, lecz ostatecznie tak łatwymi i płytkimi paradoksami. Skąd wziął się on u myśliciela tej miary, co Anatale France? Co doprowadziło jego, takiego wytwornego smakosza idei, do tego, że przytacza na zaszczytnem miejscu i całkowicie potwierdza takie np. powierzchowne zdanie niby-naukowego frazesowicza, jakiegoś pana Hugona Rebella, że „ponieważ ludzie we wszystkich czasach mają jednakowy organizm i jednakowe namiętności, więc nie mogą też mieć zasadniczo odmiennych instytucyj, z czego wynika, że przewrót polityczny kończy się zawsze powrotem do odwiecznych zwyczajów ludu, że więc jest niejako chorobą, przerwą w rozwoju normalnym“? Zdaniem mojem, przyczyna tkwi w charakterze, jaki przybrała trzecia rzeczpospolita we Francyi po ostatecznem wyparciu lub unieruchomieniu stronników dawnych form rządu; w wyrzeczeniu się przez oportunizm u steru rządów najistotniejszych punktów dawnego programu republikańskiego. To zjawisko uogólnił sam France, zabierając już osobiście głos po swoim księdzu, w przypowieści o Prometeuszu — rzecby można — utuczonym. Prometeusz kilka razy już zrzucił z tronu Jowisza, lecz nowy porządek tak jest podobny do starego, że wielu zaprzecza przyjściu Tytana. Gdzież, powiadają, na piersi jego owa rana, przez którą sęp niesprawiedliwości wyrywał mu serce i która krwawić się miała wiecznie? Nic on nie wie o bólach i walkach wygnania. To nie ów bóg-twórca, który był nam obiecany i któregośmy oczekiwali. To opasły Jowisz ze starego a śmiesznego Olimpu! — Alboż znikły dawne nadużycia? W chwili, gdy France pisał te słowa, kotłowało się właśnie bagno panamskie — do którego przejrzystą aluzyę stanowi też rozdział o „Affaire du Mississipi“ — i pochłaniało właśnie jednego po drugim krótkotrwałych „konsulów“ zwyrodniałej, plutokratycznej rzeczypospolitej. To też France wyszydza całą republikańską racyę stanu, niemniej obłudną i złośliwą od racyi stanu form rządu dawniejszych. Z jaką zjadliwą ironią mówi o szeregu rządów francuskich, które — w latach 1830, 48, 70 — istnienie własne zawdzięczając spiskowi i przewrotowi, z całą powagą i wiarą w swą świętość tłumiły próby spisków nowych! Pod bardzo przejrzystymi pseudonimami wspomina o Rochefortcie i Boulangerze i z wyraźną, choć pobłażliwą sympatyą dla pierwszego, zimno-ironicznemi zdaniami piętnuje skazanie ich przez sąd senatu, sąd nadzwyczajny, który z góry przygotował wyrok pod wpływem rządu, którego wszyscy członkowie byli interesowani: zwycięztwo spiskowców ściągnęło by ich było z ich krzeseł kurylnych. „Majestatyczna obłuda“ sądu źle zresztą ukrywała niemożliwość skazania oskarżonych za pomocą procedury zwykłej. Tak jest przekonany o obłudzie i wewnętrznej czczości rządu republikańskiego, że nawet w walce przeciw zakonom, stoczonej przez Juliusza Ferry (którego również łatwo poznać w owym ministrze, co umarł właśnie w chwili, gdy odzyskiwał dawno utraconą popularność) widzi tylko fajerwerk, po którym nie pozostało nic, prócz — zepsutego powietrza, i próbę odwrócenia uwagi ludu od cierpień i zadań ważniejszych! Bo „formy rządu są jak skóra, która odbija budowę zwierzęcia, lecz nie jest jej przyczyną; cóż przyjdzie z oddziaływania na skórę, jeśli się zaniedbuje wnętrzności?“

(D. n.).

*Dr. K. Krauz.*

## POEZYE

### SEN ZIEMI.

W mrokach oceanowych odmętów zrodzony,
Opokowych przewrotów wydźwignięty mocą,
Wybujał w dniach Genezis sen ziemi zielony—
I zawisnął nad bezdnem wód czarnych sieroco...

Żaden głos go nie witał beznadziejnem: po co?
Żadne echo nie mknęło w bezmiar nieskończony,
Ogromna cichość legła, jak przed czarów nocą...

Bajeczne mgły jedynie zieloną oponą
Kryjąc posępne, dzikie, bezkształtne urwiska,
Oddychały głęboko, ciężko, porodowo —
Tylko paproci wielkie, fantastyczne liście,
Oplatając potworne pnie drzew, bez nazwiska,
Słały wkrąg mrok tajemny, woń, zwilgłą, surową,
I nieme—nieruchome—śniły uroczyście...

* * *

Pustkowiem wiało wokół—tylko płazy, gady,
O cielskach monstrualnych, wlokąc byt ospały,
Pełzały w mchach, głębokie żłobiąc na nich ślady,
Gniotąc las paprocianych wachlarzy wspaniały...

Na tle wód oceanu majaczyły skały,
Jakby groźne, olbrzymie, ruinne arkady,
Co przez krzywizny szczelin ledwie przepuszczały
Dalekich przyszłych światów blask wątły i blady...

Twór każdy, jakby oddech zaparłszy w swem łonie,
Wyczekiwał niezwykłych, nieznanych wydarzeń —
Czuć było wśród dziewiczej, surowej natury
Lęk skryty, tęskność za czemś i nastrój ponury —

Jakby chwila obecna, przy całym swym plonie.
Była zaledwie cząstką jej sennych rozmarzeń...

* * *

Mistycznych ptaków stada, krążąc wciąż mia-
[rowo,
Rzucały cień na ziemię czarny, zagadkowy,
Jakby pragnąc wyrazić symboliczną mową
Szeregi przyszłych przemian, okres zjawisk
[nowy...

Instynktowy dreszcz przeczuć stał się snów
[osnową—
Płazy, gady niepomne na wstrętne narowy,
Spokorniały, przyległy, jak na zaklęć słowo,
Uszedłszy w gąszcz paproci i w labirynt mcho-
[wy...

Tak mijały dla ziemi wieki w ciężkiem śnieniu,
Wieszczącem — niewiadomo — dolę czy nie-
[dolę...
Tymczasem—wśród przestrzeni, w epok odda-
[leniu,
Myśl kręgi zataczała nad globem sokole,
I czekała, co tajne przeznaczenie rzecze —
Rychło-li każe przywdziać jej kształty czło-
[wiecze...

*Wiktor Dzierżanowski.*

SPRAWY EKONOMICZNE

# Pruska komisya kolonizacyjna.

III.

A teraz zobaczmy, czy przynajmniej komisya swemi setkami milionów u-miała rzeczywiście powołać do ży-cia sprawne gospodarstwa ekonomiczne.

Jak widzieliśmy, warunki, na jakich ko-loniści otrzymują ziemię, są wprost niesły-chanie dogodne; w stosunkach europejskich, i nawet w krajach świeżo kolonizujących się, nigdy może osiedleńcy nie znajdowali tak wspaniałych warunków. Tam ziemię otrzymują zapewne taniej, ale ziemię nieu-prawną, którą z wielkim nakładem pracy trzeba doprowadzić do kultury; tu otrzy-mują gospodarstwa zupełnie urządzone, osiedlają się w kraju cywilizowanym, na żadne niebezpieczeństwo nie są narażeni, odbyt plonów mają zapewniony. Za ziemię tę płacą rentę niepospolicie nizką, kredyt mają bardzo rozległy, gdyż udziela go ko-misya na warunkach dogodnych. Prócz te-go wykwalifikowani i obeznani z warunka-mi administratorowie komisyi służą im bezpłatnie poradą; komisya założyła dla nich dwie szkoły agronomiczne z wykła-dami zimowymi; komisya sprowadza dla nich bydło zarodowe, zakłada spółki rolni-cze, spółki gorzelnicze, mleczarskie itp. — rozdaje prawie darmo drzewka owocowe. Słowem, niema gałęzi gospodarczej, gdzie kolonista nie mógłby mieć wszelkiej, jakiej zapragnie pomocy.

Zważywszy to wszystko, należałoby są-dzić, że te kolonie opływają miodem i mle-kiem, że koloniści szybko dorabiają się majątków, że ekonomiczne ich położenie jest oparte na niewzruszonych podstawach.

Tymczasem już sprawozdania urzędowe zawierają poddostatkiem wskazówek, że stan tych gospodarstw nie jest świetny. W r. 1900/1 był nieurodzaj w Księstwie, i wnet ujawniło się, że koloniści, tak hoj-nie wyposażeni, nie są w stanie przetrwać o własnej sile nawet jednego roku nieuro-dzaju: komisya musiała wydać na „akcyę ratunkową" do tych 4,650 gospodarstw ni mniej ni więcej tylko 408,170 marek. Po-kazało się dalej, że pomimo bezgranicznej niemal względności ze strony komisyi co do prolongowania długów, od jej założenia zdarzyło się 13 subhastacyj, a 20 koloni-stów, którzy dzierżyli gospodarstwa na za-sadach prawa rentowego, zostało zamie-nionych na dzierżawców, gdyż nie mogli o własnych siłach gospodarować. Faktycz-nie więc trzeba liczyć 33 upadłości, co sta-nowi bardzo poważny procent w takich warunkach. W ostatnim roku sprawozdaw-czym na 944,805 marek należnej renty by-ło zaległości 12,283 m., to znaczy 1,3%. Włościanin, zalegający w taki sposób z o-płatą renty towarzystwu kredytowemu, nie-chybnie zostałby zlicytowany, komisya pro-longuje, lecz te zaległości świadczą bądź co bądź o bardzo kruchych podstawach gospodarstw.

Zobaczmy teraz, jak wyglądają te kolo-nie w sprawozdaniach nieurzędowych.

W r. 1893 pisał o nich profesor Max Sehring *). Jest to gorący zwolennik „po-lityki parcelacyjnej," że się tak wyrazimy, wywłaszczycielskich celów, jakie ma spe-cyalnie komisya kolonizacyjna, nie po-chwala wprawdzie, ale też nię potępia wy-raźnie. Stwierdza on, że zasobni w kapitał włościanie z Zachodu, Westfalczycy, Ba-deńczycy itd. stworzyli przy pomocy ko-misyi wzorowe oczywiście gospodarstwa i część z tych gospodarstw przytem prospe-ruje rzeczywiście: umiały zastosować się do warunków miejscowych; część zaś nie była w stanie pomimo intensywnego go-spodarstwa rozwinąć się należycie, bądź dlatego, że budowle wypadły niepomiernie drogo, bądź dla braku kapitału obrotowe-go Natomiast bardzo znaczna część gospo-darstw, zwłaszcza założona na lekkich gruntach, nie jest w stanie istnieć i trzyma się tylko dzięki względności komisyi, która „z trudem je utrzymuje" (str. 228—333).

Za błąd kardynalny uważa Sehring ma-łorolność gospodarstw. W rzeczy samej — statystyka urzędowa pod tym względem dziwnie wygląda. Z owych 4,695 gospo-darstw bowiem miały obszaru: 693 gospo-darstw mniej niż 5 hektarów, 860 gosp. — 5—10 h., 1,032 g. — 10—15 h., 903 g. — 15—20 h., 556 g. — 20—25 h., 536 g. — 25—50 h., 100 g. — 50—120 h„ 15 gosp. więcej niż 120 hektarów. Gospodarstwa, przekraczające 100 hektarów, trudno już uważać za włościańskie. Powstawały one wskutek warunków technicznych, miano-wicie niemożliwości rozbijania całości na parcele, gdyż wypadłoby ewentualnie two-rzyć parcele, zupełnie niezdatne do zago-spodarowania (np. same wydmy piaszczy-ste, brak łąki itp.). Za bezwarunkowo ra-cyonalne nie można uważać gospodarstw o obszarze mniej niż 5 hektarów, a gospo-darstwa mniejsze, niż 15 hektarów, tylko w wyjątkowych warunkach nadawać się będą do racyonalnej uprawy. Tymczasem potworzyła komisya właśnie takich drob-nych parcel 2,585, przeszło połowę ogól-nej liczby. Oczywiście, doświadczeni agro-nomowie, jakimi rozporządza komisya, zdają sobie doskonale sprawę, z nieracyo-nalności takiego drobienia obszarów, lecz warunki ekonomiczne zmuszają do tego: komisyi brak bowiem wciąż kolonistów, którzyby mieli dostateczne zasoby do na-bycia sporego obszaru i zagospodarowania go należycie.

Z tej więc przyczyny światłe rady uczo-nego nie wybawią pewnie instytucyi ga-dzinowej z kłopotu.

W roku 1897 wydał obszerną broszurę o dziele komisyi H. Sohnreg **). Należy on do obozu „reformy agrarnej," do owych fantastów, którzy zbanalizowali idee Henry George'a i starają się zaszczepić tę kary-katurę socyalizmu w Niemczech. Widzi on wszystko przez okulary różowe: zachwyca się chłopkiem badeńskim, który na glinie wielkopolskiej zakłada winnice, cieszą go stodoły jak fortece, które pobudował chłop westfalski, pomimo że kilkomorgowe go-spodarstwo nigdy nie da plonu, któryby zapełnił choć połowę tego gmachu; opowia-da dykteryjki o tych Szwabach, Bawa-rach, Westfalczykach — istna idylla! Lecz wyraźnie z tych właśnie dykteryjek wyni-ka przedewszystkiem, co już zaznaczyliśmy wyżej: śród owych „kulturträgerów" jest bardzo wielu takich, którzy poprostu uwa-żają się za utrzymanków państwa i którzy o własnej sile na pewno nie mogliby się ostać. Zresztą wywody pana Sohnreg tru-dno traktować naukowo i możemy oszczę-dzić sobie szczegółowej ich krytyki.

Innem okiem patrzył na dzieło komisyi Ottomar Beta *). Nie imponują mu ani piękne budynki, ani simentalery, sprowa-dzone przez komisyę, ani drzewka owoco-we i ogródki, gdyż wszystkie te piękności „zostały stworzone właśnie nie siłą samo-rzutną gospodarzy włościan, lecz przez he-lotów skrępowanych więzami." Opiera on swoje zdanie, podobnie jak Sohnreg, na tem, co widział i słyszał w koloniach i do-chodzi do wniosku, że wszyscy ci koloniści nie będą w stanie przetrwać pierwszego kryzysu. Jegomość ten jest pełen pogar-dy dla wszystkiego, co polskie, lecz docho-dzi do wniosku, że w danych warunkach włościanin polski, który zrósł się z rolą, który zastosował się do warunków natural-nych kraju, w końcu zwycięży, niemiecki zaś kolonista albo spolszczy się prędzej czy później i zastosuje się do tych warunków, albo — pójdzie z torbami.

Nam się zdaje, że sąd ten trafia w samo sedno. Z tego też punktu widzenia nie na-leży przeceniać „misyi kolonizacyjnej" o-wych osadników niemieckich. Zapewne — gospodarują oni intensywniej od włościan polskich, zaprowadzają postępową techni-kę gospodarczą, ale pytanie jeszcze, czy te właśnie sposoby gospodarowania, do jakich przywykli włościanie na żyznych łanach Westfalii lub w ogrodniczych gospodar-stwach Badenu, mogą przyjąć się na gle-bie Wielkopolski. Tu trzeba nowego typu gospodarczego, a typem tym nigdy nie bę-dzie gospodarstwo chłopskie; rozległe łany polskie wymagają ogromnego nakładu pra-cy, jaki dać może tylko zrzeszenie ludzkich jednostek dla wspólnego celu. Wynaleźć tę formę, to rzecz przyszłości. W obecnej zaś dobie owe sadzonki gospodarstwa ob-cego na ziemi polskiej niszczeją niechyb-nie.

Opowiada też autor charakterystyczne bardzo fakty o zupełnym braku zaufania miejscowej ludności do tych kolonistów pod względem stosunków handlowych. Jak naprzykład agent handlowy i kupiec nie uważają ich za stronę, z którą można zro-bić interes, której można dawać kredyt, uważają ich poprostu za ofiary szalonej po-lityki, które prędzej czy później zmarnie-ją; a takiem jest zdanie — nie Polaków, lecz Niemców, kupców i przemysłowców, którzy mają z nimi do czynienia.

Sądzimy, że z tego wszystkiego wysnuć można wniosek: dzieło kolonizacyi niemie-ckiej jak dotąd nie zapuściło korzeni, los kolonistów zawisł od tego, czy system — przy którym oni stają się wychowankami rządu, utrzymywanymi przez państwo, u-przywilejowanymi pod każdym względem narzędziami polityki zaborczej — trwać może *à la longue* **)

*) *Die innere Kolonisation in Deutschland.* — *Schriften des Vereins für Sozialpolitik*, tom 56, Lipsk, 1893.

**) *Eine Wanderfahrt durch die deutschen Ansied-lungsgebiete in Posen und Westpreussen*, Berlin, 1897.

*) *Kolonisation in Polen und die Fuchsmühler Bauerntragedie, zwei Bilder aus den deutschen Rechts- und Wirtschaftsleben.* Berlin, 1896.

**) Podobne zresztą poglądy wypowiedział już da-wno prof. Delbrück w swojej broszurze *Die Polen-frage* (Berlin 1894), wywody tego autora są znane dostatecznie i dlatego nie widzimy potrzeby rozstrzą-sać ich tu szczegółowo.

Czy zaś ten system może okazać się trwałym, to staje się kwestyą układu politycznego i tylko układu politycznego. — Już teraz komisya kolonizacyjna ma zwolenników wśród liberałów. Junkrzy bronią jej we własnym interesie, ci zaś ponieważ przywykli z zapałem wyżła aportować każdy projekt rządowy, jako partya żyją bowiem wyłącznie z łaski rządu, muszą znosić każde kopnięcie nogą i spełnić każdy, chociażby najtrudniejszy rozkaz. Inne partye polityczne nie mają potrzeby sprzedawać się na usługi rządu i dlatego nie popierają tej polityki cynicznego bezprawia, i dyletantyzmu ekonomicznego. — Lecz rządy junkierstwa trwać będą a najlżejszy podmuch postępu politycznego w Prusiech zmiecie narodowych liberałów. Z chwilą zaś, kiedy rządy w Prusiech nie będą sprawowane wyłącznie w interesach junkierstwa — wybije ostatnia godzina owych nieszczęsnych ofiar bezsensu politycznego, kolonistów niemieckich, osadzanych na ziemi polskiej.

*Dr. J. B. Marchlewski.*

## KRONIKA.

**Wiadomości urzędowe.** *Gazeta Finlandzka* ogłosiła następujące rozporządzenie o używaniu języka w W. Ks. Finlandzkiem. „§ 1. Urzędnicy finlandzcy, pozostający na posadach, dla których zajęcia, na mocy przepisów obowiązujących, wymagana jest znajomość języka rosyjskiego, jako też sądy i inne instytucye, w których skład obowiązkowo wchodzą tacy urzędnicy, powinny wydawać petentom i klientom wszelkiego rodzaju papiery w języku rosyjskim, bez względu na to, czy w tym języku była zwrócona do nich piśmienna lub ustna prośba, ady mu wydano papiery w języku fińskim lub szwedzkim. Wszyscy inni urzędnicy, sądy i urzędy do wydawanych na żądanie pententów papierów, zredagowanych w języku szwedzkim lub fińskim, obowiązane są dołączyć przekłady rosyjskie, które przygotowane są i opłacone na zasadzie przepisów, wyłuszczonych w Najwyższej odezwie z dnia 3-go grudnia 1866 r. i Najwyższym reskrypcie z dnia 23 stycznia 1867 r. § 2. Papiery służbowe, dokumenty, zawiadomienia i odezwy, zwrócone do gmin i towarzystw wiejskich, w których protokóły w sprawach zarządu publicznego prowadzone są w języku rosyjskim, redagowane w tym języku przez urzędników, zajmujących posady, dla których zajęcia wymagana jest znajomość języka rosyjskiego, jako też przez sądy i inne urzędy, w których skład wchodzą tacy urzędnicy. Pozostałe zaś urzędy i urzędnicy zaopatrują papiery, dokumenty, zawiadomienia i odezwy w przekłady na język rosyjski w porządku wskazanym w poprzednim paragrafie."

**Zamach.** D. 11 sierpnia wieczorem, w Charkowie, w ogrodzie Tivoli, podczas antraktu, dokonano zamachu zbrodniczego na życie gubernatora charkowskiego, ks. Obolenskiego. Jeden z czterech strzałów, wymierzony w księcia, chybił, natomiast kontuzyował w szyję żonę prezesa zarządu gubernialnego ziemskiego; druga kula przebiła na wylot nogę policmajstrowi Bezsonowowi. Przestępcę aresztowano.

**Wiadomości społeczne.** Ks. arcybiskup lwowski Bilczewski, wydał odezwę do duchowieństwa, w której wzywa, ażeby pracodawcy, gdzie tylko mogą, zrobili słuszne ustępstwa i „zjednali sobie opieką i bratniem postępowaniem zaufanie i serca ludu." W tej samej sprawie kilku posłów rusińskich, w Wiedniu, aby uniknąć ogłoszenia stanu oblężenia, zażądało od prezesa ministrów wysłania do Galicyi pełnomocników do zbadania stosunków w okolicach dotkniętych bezrobociem.

— Na odbytem w Ostrawie Morawskiej zebraniu przedstawicieli wszystkich sfer polskich uchwalono otworzyć z d. 15 września szkołę polską, przy której prowadzone będą również kursy wieczorne dla młodzieży rzemieślniczej i kurs dla analfabetów.

— Prezydent Kijowa rozpoczął starania w drodze urzędowej o zakaz wynajmowania suteren za mieszkania. Bodźca do tego przedsięwzięcia dały tragiczne następstwa niedawnej powodzi, wywołanej ulewą.

— W ministeryum skarbu rozpatrują opracowany przez Towarzystwo ochrony zdrowia kobiet projekt ustawy, mającej na celu nadzór nad zakładami rzemieślniczymi, w których pracują dziewczęta i kobiety.

**Z Poznańskiego.** Za rzekomą obrazę rektora szkoły katolickiej w Gnieźnie, z powodu ukarania 14-letniej Kwiecińskiej, uczennicy wyższej szkoły dla dziewcząt, stawali przed izbą karną w Gnieźnie: matka ukaranej, b. odpowiedzialny redaktor *Lecha*, p. Polcyn i p. Józef Chociszewski, zastępujący uwięzionego redaktora, p. Palińskiego. Kwiecińską skazano na 100 marek kary, p. Polcyna na 2 tygodnie, a p. Józefa Chociszewskiego na 6 tygodni więzienia.

— *Kuryer Pozn.* donosi, że radca ziemski (Landrat) pow. Toruńskiego wyjechał do Ameryki w celu nakłonienia kolonistów niemieckich do powrotu i osiedlenia się w W. Ks. Poznańskiem dla wzmocnienia niemczyzny.

— Delegaci polscy poznańskiej rady miejskiej nie stawili się na posiedzenie w celu narad nad kosztami przyjęcia cesarza Wilhelma, lecz natomiast nadesłali prezydentowi następujące oświadczenie: „Mając na uwadze pamiętną mowę najjaśniejszego cesarzu i króla w Malborgu, musimy przyjść do wniosku, że udział ludności polskiej w jego przyjęciu w Poznaniu nie mógłby być przyjemnym cesarzowi. W tem mniemaniu wolimy wstrzymać się od udziału w posiedzeniu obecnem."

— Po zamknięciu „Przytuliska" w Poznaniu panna Aniela Tułodziecka ogłosiła w pismach, że jako osoba prywatna zajmować się będzie ubogiemi dziećmi i prosiła o przysyłanie ich nadal. Na drugi dzień po tem ogłoszeniu przybył komisarz policyi i rozkazał dzieciom oddalić się, pod groźbą użycia przemocy. (*Dzien. Pozn.*)

**Szkoły i wychowanie.** Otwarcie wydziału gór n czego w politechnice warszawskiej nastąpi dopiero w roku szkolnym 1903|4. (*Warsz. Dn.*)

— Z zapisu dr. Ćwieckowskiego w październiku r. b. udzielane będą z ogólnej sumy 4,543 rb. 85 kop. następujące zapomogi kandydatom pochodzenia polskiego, z pierwszeństwem dla krewnych zapisodawcy: 1) młodzieży płci obojej kształcącej się zawodowo w rzemiośle lub szkołach fachowych, wyróżniających się wyjątkowem uzdolnieniem w obranym zawodzie; 2) autorom na wydawnictwa dzieł popularnych z dziedziny wiedzy przyrodniczej; 3) studentom wydziału lekarskiego uniwersytetu warszawskiego — stypendya. Kandydaci ubiegający się o te zapomogi winni wnosić przed d. 20 b. m. podania na ręce jednego z wykonawców woli zapisodawcy: dr. K. Chełchowskiego (Nowy-Świat nr. 7), prof. W. Brodowskiego (Smolna 21), adw. D. Anca (Jasna 10).

— Ministeryum oświaty rozesłało do kuratorów okręgów naukowych następujące przepisy o dozorowaniu uczniów po za szkołą: 1) nadzór w czasie wakacyj nad sprawowaniem się uczniów szkół średnich po za domem, oraz przedsiebranie środków odpowiednich w razie przekroczenia przepisów lub dopuszczania się postępków karygodnych, należą jedynie do członków rady pedagogicznej szkół średnich; 2) nadzór ten rozciąga się również i na wychowańców szkół średnich, o ile noszą przepisany uniform; 3) naczelnicy szkół średnich obowiązani są bezwarunkowo wydawać uczniom bilety urlopowe, z oznaczeniem miejsca wyjazdu, oraz przedstawiać kuratorowi swego okręgu listy urlopowanych; 4) osoby dozorujące obowiązane są kontrolować uczęszczanie młodzieży szkolnej do teatrów, na koncerty, wieczorki taneczne itp. rozrywki, zabraniając im stanowczo brania udziału w teatrach amatorskich na letnich mieszkaniach. Przy delegowaniu osób dozorujących do miejsc leczniczych lub na letnie mieszkania, zwierzchność naukowa powinna wybierać tylko osoby znane ze swego taktu pedagogicznego i miłości dla dzieci.

— Do politechniki petersburskiej przyjęto ogółem 280 studentów: 61 na wydział metalurgiczny, 63 na elektrotechniczny, 129 na ekonomiczny i 27 — budowy okrętów.

— Przy zarządzie warszawskiego okręgu komunikacyj utworzono komisyę egzaminacyjną na stopień technika. Egzaminy odbywać się będą od 28 sierpnia do 28 września r. b. Kandydaci winni dołączyć do podania na imię naczelnika okręgu metrykę, świadectwo pochodzenia, ukończenia szkoły średniej, i dowód o odbytej praktyce rocznej u jednego z inżenierów, oraz 10 rb. na koszty egzaminu.

— P. E. Rontaler otwiera nową szkołę handlową 3-klasową z klasą przygotowawczą, z prawami szkół rządowych. Do szkoły przyjmowani pędą uczniowie bez różnicy wyznania. Egzaminy wstępne rozpoczną się d. 5 września, lekcye 15-go. — Prócz tego, jak donosi *Kury. Warsz.* na mocy rozporządzenia ministeryum skarbu otwierają się przy szkole Rontalera kursy agronomiczne, które trwać będą trzy lata. Rozpoczną się one d. 1 września r. b. i będą otwarte, jako równoległe odziały, zacząwszy od klasy szóstej. Egzaminy wstępne rozpoczną się d. 5 września, a wykłady d. 15 września.

— Szkoła nauk politycznych we Lwowie rozpoczyna swą działalność w październiku r. b. Kurs będzie dwuletni, trwać ma 2—3 miesięcy w każdym roku: od października kurs pierwszy, w styczniu 1903 r. — kurs drugi, w październiku t. r. — kurs trzeci i w styczniu 1904 r. — kurs czwarty. Kurs I obejmie: 1) pojęcie i podział nauk społecznych i politycznych; 2) zasady socyologii; 3) zasady ekonomii politycznej; 4) ogólna nauka o państwie; 5) teorya badań statystycznych; 6) dzieje. Kurs II: 1) Kwestya agrarna. 2) Polityka przemysłowa i handlowa. 3) O emigracyi i kolonizacyi. 4) Kwestya społeczna. 5) Statystyka. 6) Dzieje w XIX w. Kurs III: 1) Ustrój państwowy i prawo administracyjne. 2) Finanse. 3) Statystyka. 4) Zarys historyi literatury politycznej. 5) Dzieje w XIX w. (część druga). Kurs IV: Różne aktualne zagadnienia społeczne w zakresie spraw krajowych.

**Wiadomości naukowe.** Warszawskie Towarzystwo lekarskie zawiadamia: 1) Że nagroda pieniężna 240 rb., imienia Tytusa Chałubińskiego, przyznana będzie w r. 1905 za najlepszą pracę oryginalną z dziedziny nauk lekarskich lub pomocniczych w zastosowaniu do medycyny, ogłoszoną drukiem w języku polskim w czasie od d. 1 stycznia 1901 r. do d. 31 grudnia 1904 r. Ustawa konkursowa i regulamin dopełniający żadnych innych ograniczeń w przyjmowaniu prac do ubiegania się o nagrodę nie zastrzegają. Autor, przesyłając pracę do Towarzystwa, na piśmie wyrazić winien, że ją do konkursu przeznacza. Prace składane być mogą w ciągu lat 1901—4 i w styczniu 1905 roku na ręce sekretarza stałego Tow. Ustawę i regulamin konkursowy można przejrzeć w kancelaryi Tow. 2) Że nagroda pieniężna z zapisu ś. p. Romualda Plaskowskiego będzie przyznana w r. 1904 za pracę dziedziny psychiatryi, bądź ogłoszoną drukiem w języku polskim, w terminie od d. 1 kwietnia r. 1902 do d. 31 marca r. 1904, bądź też w rękopisie złożoną Towarzystwu lekarskiemu. W braku odznaczających się prac specyalnej treści psychiatrycznej, mogą być nagrodzone ważniejsze z dziedziny anatomii patologicznej, jeśli przyczyniać się będą do rozjaśnienia rozwoju powstawania chorób umysłowych. Termin ostateczny do złożenia rozpraw oznaczono na d. 31 marca r. 1904. Najlepsza praca otrzyma rb. 346 kop. 63 nagrody. Nagroda ta ewentualnie może być rozdzieloną, stosownie do uznania komitetu konkursowego. Wszystkie prace nadsyłane być mają pod adresem sekretarza stałego Tow. lekarskiego w Warszawie (ul. Niecała nr. 7).

— Dyrekcya szkoły przemysłowej w Krakowie ogłasza konkurs na posady czterech asystentów: 1) konstrukcyi maszyn; 2) chemii ogólnej i analitycznej 3) rysunków geometrycznych i odręcznych; 4) projektowania budowniczego. Do każdej z tych posady które mają być obsadzone od d. 1 września r. b., przywiązana jest pensya 1200 koron rocznie. Podania, opatrzone w dowody, wnosić należy najpóźniej do d. 21 b. m. na ręce dyrekcyi szkoły.

**Sprawy ekonomiczne.** Ogłoszono urzędownie konwencyę o wzajemnej przesyłce przekazów pieniężnych między Rosyą a Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej.

— Wileńskie Tow. rolnicze ogłosiło konkurs na wykonanie projektów: *a*) Koszar dla robotników (na 10 osób); *b*) oddzielnych domów dla robotników na 2 i 4 rodziny (dwojaków i czworaków); *c*) stajni na 10 koni, z 2 klatkami dla klaczy źrebnych; *d*) obory na 10 krów, z 2 klatkami dla krów cielnych. Za względnie najlepsze projekty, odnoszące się do grupy *a* lub *b* będą wydane trzy nagrody: 1) dyplom honorowy, 2) nagroda pieniężna w ilości stu rubli i 3) nagroda pieniężna w ilości 50 rb. Za względnie najlepsze projekty odnoszące się do grupy *c* lub *d* będą przyznane medale. Termin ostateczny nadsyłania projektów d. 7 września pod adresem Zarządu W

Tow. roln. (ul. Zawalna, dom Synodu reformowanego.)

— Ministeryum rolnictwa projektuje wykupienie na rzecz skarbu wszystkich lasów majorackich w Królestwie Polskiem, aby sumę stąd osiągniętą umieścić jako kapitał nienaruszalny w instytucyach rządowych. Zmiana ta ma wpłynąć na podniesienie gospodarki leśnej.

**Zdrowie publiczne.** Międzynarodowy kongres opieki nad obłąkanymi odbędzie się d. 1—7 września r. b. w Antwerpii.

**Zmarli.** Jan Babirecki, pedagog i autor map historycznych; w Galicyi.

— Maurycy Scheps, literat, założyciel dziennika *Wiener Tegeblatt.*

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Panu S. Sliwińskiemu w Kijowie.* Numery żądane były wysłane w swoim czasie.

*Pani K. T.* Naśladownictwo maniery nie dowodzi smaku artystycznego, a może być zabójczem dla talentu. Prócz tego Sz. Pani, to nie jest po polsku pisane. Włosy dęba stają na głowie, co to za gramatyka, co za składnia! Drukować nie możemy.

*P. Witołdowi P., stud. uniw.* Istotnie, sprawa wielkiej wagi i niebezpieczeństwo duże, ale.... akcyę ratunkową należy zacząć od drugiego końca — nie od „pań" tylko od „panów" i choćby dlatego artykułu Pańskiego nie pomieścimy.




Redaktor i Wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Августа 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.